

P. W. 544

ŚMIAŁY



1919-5.XI-1920

BIBLIOTEKA
Instytutu Badań
Literackich PAN

„ŚMIAŁY“

WYDANE STARANIEM BRONU AKADEM. P. P. „ŚMIAŁY”,
I KOLEJNYCH W WARSZAWIE

*Dochód ze sprzedaży na rzecz funduszu
im. ś. p. Braci Mutagurskich*

*11 100
200
1200*

W rocznicę wyruszenia na front poc. panc. „ŚMIAŁY”.

Dnia 5 listopada 1918 r. wyruszył pociąg pancerny „Śmiały” z Krakowa, aby od Przemyśla po Lwów iść na czele odsieczy, niosącej ratunek bohaterskim Orłom lwowskim. Wkrótce potem, bo w dniu decydującego boju o Lwów, objął komendę „Śmiałego” Ten, który miał mu nadać całą wartość bojową, miał stać się jego duszą i jego chwałą — porucznik Stanisław Małagowski.

Dnia 5 listopada 1919 r. — upływa rok naszego żołnierskiego życia.

Radosna to i krwawa zarazem rocznica. Ile bitw wygranych, miast i wiosek zdobytych, ile trudów poniesionych w polu! Dobrze byłoby wspomnieć... Ale jakże niewielu nas rocznicę tę obchodzi. I niemasz pomiędzy nami najdzielniejszego. Poległ ukochany Komendant Małagowski, poległ piękny i nieustraszony brat jego, żołnierz-artysta, poległo tylu..

Więc krwawa dziś rocznica.

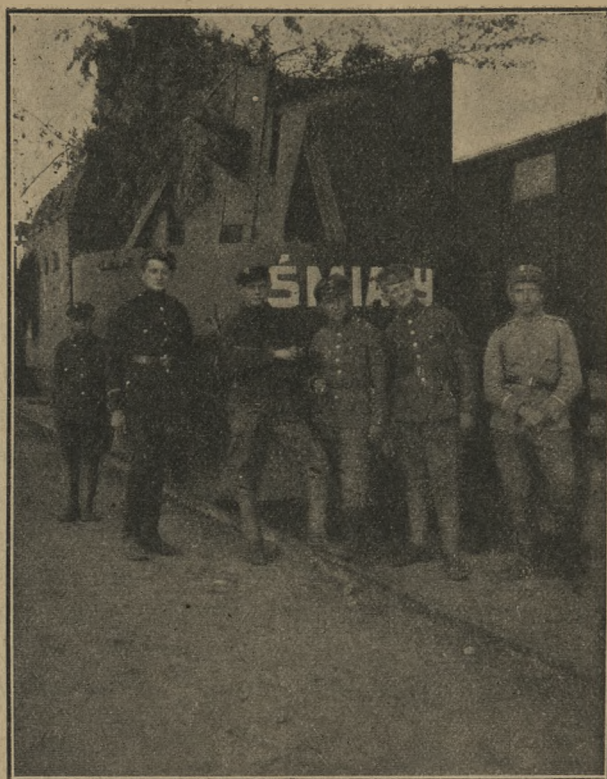
* * *

Czemuż chcemy mówić o nas głośno dnia tego? Czy w paru stronicach książki zamknąć myślimy wielkość bohaterów? Czy bojów przebytych sami być chcemy chwalcą? O, nie. Żaden wawrzyn nie godzien jest tych, co polegli. My zaś — prości żołnierze, dalej na wojenkę ruszamy.

Książeczkę tę jednak zostawiamy dla tych, co kiedyś, w odległych, spokojnych latach historję Wielkiego Pierwszego Roku poznać zechcą i zobaczyć zbliska, na prostych żołnierskich obrazkach, jaka to polska wojenka była, jak szli dla niej „chłopcy wybierani” i jak jeden po drugim na pole ojczyste padali.

I jeszcze. — Jeszcze powiedzieć chcemy, kim byli ci, których kochaliśmy tak mocno: Chłopcy Małagowscy! Wiedźcie, że nie zapomni ich żołnierz. Oni byli treścią „Śmiałego”. Będą też treścią tych wspomnień. Nazwisko ich starczy nam za świadectwo spełnionego żołnierskiego obowiązku.





Grupa akademików pociągu.



Chrzest ornat

Kronika pociągu pancernego „Śmiały“.

5. XI. 1918 — 5. XI. 1919.

W przełomowych dniach jesiennych 1918 r. na hasło dane z Krakowa rozpoczęło się w Galicji rozbrajanie Austryaków. W dniach tych zajęto w Prokocinie węgierski pociąg pancerny, który sprowadzono do Krakowa. Tu podzielono go na dwie części, z czego dwie pierwsze pociągów pancernych polskich: „Piłsudczyka“ i „Śmiałego“

Dnia 4 listopada zreorganizowano pociąg pancerny „Śmiały“: składał się on z wozu szturmowego z armatą 7 cm. w wieży ruchomej, maszyny pancernej, oraz żelaznego wozu na karabiny maszynowe. Pierwszym dowódcą był por. Jerzy Lewakowski. Właściwą działalność bojową rozpoczyna pociąg walkami pod Przemyślem.

Dnia 11-go i 12-go listopada bierze pociąg czynny udział przy zdobywaniu Przemyśla. Od strony Zazania wjeżdża na most kolejowy na rzece i toruje drogę atakującej piechocie, znajdując się sam pod gradem kul karabinów maszynowych

Po dwudniowym postoju w Przemyślu, wyrusza pociąg pod komendą kapitana Hickiewicza, wraz z grupą ppłk. Tokarzewskiego, na odsiecz Lwowa i po walkach stoczonych pod Medyką i Gródkiem wjeżdża do Lwowa w nocy 19-go listopada. Następnego dnia bierze pociąg udział w walce o stację Podzamcze; tu zostaje ciężko ranny kapitan Hickiewicz, a dowództwo po nim obejmuje por. Stanisław Małagowski.

Skład oficerski „Śmiałego“ był wówczas następujący: zastępcą por. Małagowskiego oraz komendantem artylerji był ppor. Stanisław Hrebenda; drugim oficerem artylerji ppor. Karol Hülle. Ppor. Adam Gulsławski dowodził karabinami maszynowymi, a oficerem technicznym był ppor. Stanisław Biega.

Zaraz następnego dnia w pościgu za cofającymi się Ukraińcami dociera pociąg pancerny do stacji Winniki i zajmuje ją. Po obsadzeniu Winnik przez nasze wojska, wraca pociąg do Lwowa, by w nocy z 23-go na 24-ty listopada eskortować do Przemyśla transport artylerji. 25-go listopada uczestniczy w akcji o Nizankowice, uwieńczonej zajęciem tej miejscowości.

26-go listopada powraca pociąg do Lwowa i w tym dniu otrzymuje nazwę „Śmiały“. Rankiem 28-go b. m. wyjeżdża „Śmiały“ na linię kolejową Lwów-Chodorów celem wykonania wywiadu i dociera pod Stare Sioło. W następnych dwu dniach bierze pociąg udział w akcji mającej na celu odparcie sił ukraińskich na południe

od Lwowa. Po naprawie toru kolejowego pod stacją Glinna Nawarja dojeżdża „Śmiały“ do sygnałów przy stacji Pustomyty. 2-go i 3-go grudnia wraz z pociągiem pancernym P. P. 3 uczestniczy „Śmiały“ w wypadzie załogi Lwowa w kierunku wschodnim i dociera do osiemnastu kilometrów w stronę Podhajec. W nocy z 3-go na 4-go wyrusza wraz z bataljone m majora Modelskiego i jedną baterją w kierunku na Sambor. Po kilkorazowym naprawieniu toru dojeżdża „Śmiały“ w południe do stacji Stawczany; tu przychodzi jednak rozkaz powrotu do Lwowa. W czasie drogi powrotnej zostaje pociąg i towarzyszące mu transporty ostrzelane przez piechotę i nieprzyjacielskie karabiny maszynowe ze wsi Obroszyn. Pod osłoną artylerji „Śmiałego“ zajmuje piechota majora Modelskiego Obroszyn, biorąc jeńców i karabiny maszynowe. Następnie wraca „Śmiały“ do Lwowa i 7-go grudnia wyjeżdża do Przemyśla przydzielony do grupy gen. Zielińskiego.

Dnia 11-go grudnia została przyłączona do „Śmiałego“ jako kompanja szturmowa: 1-sza kompanja polowa krakowskiego bataljonu akademickiego pozostająca pod komendą por. Radeckiego. Komendantami poszczególnych plutonów byli podporucznicy: Buczman, Blumski i Stachowicz. Oddział liczący 110 ludzi, zaopatrzony we 2 karabiny maszynowe, podporządkowany został pod względem taktycznym komendzie pociągu, administracyjnie zaś i gospodarczo zachował narazie swoją samodzielność.

Niebawem, bo dnia 13-go grudnia rozpoczęła się nowa seria operacji pociągu, tym razem na południe od Przemyśla, trwająca do dnia 21-go. Było to współdziałanie z ofensywą grupy gen. Zielińskiego mającą na celu odzyskanie Chyrowa poprzez Nizankowice i Dobromil. — W walkach tych operował „Śmiały“ dwoma częściami bojowymi: pierwsza, pancerna, ta dawna z pod Przemyśla i Lwowa, z jedną armatką naprzecde; druga, szturmowa mająca za zadanie ochronę tyłów pierwszej. Ta była zwana „Śmiały A“ złożona z czterech drewnianych, prowizorycznie betonem od ognia chronionych wozów, wiozących kompanję szturmową.

Sytuacja pociągu w białej nizankowickiej była bardzo skomplikowana. Prowadził on atak na czele lewego skrzydła, równocześnie zaś stanowił nieomal jedyną — w dwóch przynajmniej pierwszych dniach — ochronę flanki grupy gen. Zielińskiego. Toteż te pierwsze dni były najcięższe i decydujące dla dalszego przebiegu akcji.

Dnia 13-go grudnia, po naprawieniu toru pod silnym ogniem karabinowym nieprzyjacielskim, posunął się pociąg poza Hermanowice w stronę Niżankowic i celnymi strzałami armatnimi zmusił do cofnięcia się pancerkę ukraińską. Następnego dnia, ostrzeliwując ogniem armatnim i swoich karabinów maszynowych wzgórze i wieś położone na wschód od linii Hermanowice-Niżankowice, oraz patrolami kompanji szturmowej badając teren, spełniał pociąg swoje zadanie ochronny lewej flanki. Jednocześnie po obustronnej wymianie strzałów armatnich i dalszej walce z pancerką nieprzyjacielską, wjechał pod wieczór „Śmiały“ na stację Niżankowice na parę chwil przed wkroczeniem piechoty do tegoż miasta i ścigał pancerkę dalej aż do mostu na rzeczce; tegoż dnia od celnych strzałów naszej czołowej armaty dotkliwie uszkodzono nieprzyjacielską pancerkę. Dnia tego zginął kapral Mackiewicz w chwili, gdy powracał z meldunkiem do pociągu od sztafu grupy.

Przez następne cztery dni „Śmiały“ kontynuował walkę na południe od Niżankowic, przyczem dnia 15-go grudnia kompanja szturmowa „Śmiałego“ skuteczną wypad z pociągu, uwięziony zajęciem wzgórz na połudn. wschód od wsi Borszowice. Akcji tej kompanji szturmowej wyraził gen Zieliński swoją pochwałę.

Przez wszystkie te dni część komp. szturmowej pociągu stanowiła ochronę linii kolejowej Przemysł-Niżankowice, wystawiając posterunki przy moście w Nehrybce, oraz na stacjach Hermanowice i Niżankowice. Placówki te ostrzeliwane były ogniem artyleryjskim.

Dnia 19 grudnia, ściągawszy wszystkie posterunki, wyjechał „Śmiały“ do Przemyśla, a stąd do Medyki z powodu alarmu nocnego. Po nocy spędzonej wśród pogotowia powrócił „Śmiały“ do Przemyśla, by znów następnego dnia eskortować Naczelnika Państwa do Gródka.

Dnia 23 grudnia wyjeżdża część pancerna do Krakowa na remont, a oddział szturmowy w czterech wozach betonowanych, ów „Śmiały A“ wyjeżdża 25 grudnia do Sądowej Wiszni i od tego czasu pełni służbę ubezpieczającą, połączoną z ciąglem patrolowaniem na linii kolejowej Przemysł-Sądowa Wisznia.

Rankiem dnia 30 grudnia był pociąg w lesie w pobliżu Chorośnicy ostrzeliwany przez Ukraińców; zginął wówczas ppor. Buczman trafiony kulą, która przebiła wóz osobowy. Dnia 31 grudnia wzięła załoga „Śmiałego“ wraz z kompanją asystencyjną por. Abłamowicza, udział w karnej ekspedycji na wieś Bortiatyn, zakończonej spalaniem tejże.

W nocy z 30-go grud. na 1 stycznia udało się Ukraińcom wysadzić mostek kolejowy między Chorośnicą a Sądową Wisznia i odciąć pociąg od tej ostatniej, którą równocześnie zaatakowały przeważające siły ukraińskie, wspierane artylerją. Podczas gdy część załogi zajęta była naprawą mostu, ostrzeliwanego przez Ukraińców, reszta w liczbie 16 pod komendą ppor. Stachowicza na wozie wysłanym z Sądowej Wiszni zaatakowała z flanki Ukraińców, wdzierających się na stację kolejową i przyczyniła się w ten sposób do odparcia ataku, po którym Ukraińcy, mając

rannych i zabitych, cofnęli się w pobliskie lasy, skąd działaniem artylerji rozpoczęli ostrzeliwanie stacji kolejowej

Od dnia 3 stycznia rozpoczął „Śmiały A“ służbę ubezpieczającą również w stronę Gródka i Mszany. 10 stycznia powróciła z remontu część pancerna „Śmiałego“ i odtąd operowały razem między Przemyślem a Lwowem.

14 stycznia złożył por. Radecki dowództwo „Śmiałego A.“, i od tego czasu dwie części pozostawały pod dowództwem por. Małagowskiego, 21-go zaś stycznia połączyły się i pod względem administracyjno-gospodarczym. 14 stycznia rozpoczął się kurs szkoły podoficerskiej, zorganizowanej przez por. Małagowskiego, w której wzięła udział cała 1 kompanja polowa baonu akademickiego. Jednocześnie pełniono dalej służbę ubezpieczającą między Sądową Wisznia a Mszana.

Dnia 20 stycznia zaalarmowano „Śmiałego“ wiadomością, iż Ukraińcy zajęli Doliwiany 5 klm. od toru kolejowego. Wysłany oddział z 30 ludzi i 1 kar. masz. pod komendą ppor. Gusławskiego, natrafił na przeważające siły ukraińskie. Przybyła odsiecz pod komendą por. Małagowskiego, umożliwiła oddziałowi wycofanie się do pociągu. Zginął wówczas jednor. Dyszkiewicz a jedn Dębski został ranny. Ukraińcy zajmują okoliczne wsie Koców i Milatyn, skąd posuwają się ku Barowi. Celem zapobieżenia dalszemu zbliżeniu się Ukraińców ku linii kolejowej podejmuje „Śmiały“ większą akcję od strony Baru na wieś Milatyn, uwięzioną zaprzestaniem przez ukraińców dalszej akcji ofenzywnej.

Kontynuując szkołę podoficerską jeźdźca „Śmiały“ w nocy z 30/31 stycznia do Lwowa. Od dnia 5 lutego zostaje szkoła podoficerska przeniesiona do koszar, gdzie 15 lutego odbywa się egzamin w obecności gen. Rozwadowskiego, oraz grona oficerów 5 p. Leg. Przez cały ten czas część bojowa „Śmiałego“ odbywała nocne patrole. Dnia 17 lutego wyjeżdża „Śmiały“ w stronę Rzęsny Ruskiej, gdzie ubezpieczał flankę naszej akcji ofenzywnej idącej od strony Lwowa.

Następnego dnia, wskutek zbliżenia się Ukraińców do mostu kolejowego na Wereszycy, obsadza załoga wieś Kamienbród i wraz z jedną kompanją 4 p. Leg. wspomaganą artylerją pociągu, odiera ataki ukraińskie na wieś oraz most kolejowy. 20 lutego, po bezwocznych atakach, wycofują się ukraińcy ze wsi Podzamcze w kierunku Dobrosławia.

Po tej akcji wraca „Śmiały“ zluzowany przez p. p. „Piłsudczyk“ do Lwowa, skąd 25 lutego, w dniu zawieszenia broni udaje się do Gródka. 26 lutego złożyła załoga ślubowanie na wierność Rzeczypospolitej Polskiej. — Gdy dnia 1 marca nastąpiło wypowiedzenie zawieszenia broni przez Ukraińców wyjechał „Śmiały“ do Sądowej Wiszni, którą od dnia 3 marca rozpoczęła artylerja ukraińska ostrzeliwać.

Dnia 7 marca rozpoczęła grupa pułk. Beckera, akcję ofenzywną od strony Sądowej Wiszni na Dołhomociska i Wołczuchy, pociąg zaś pancerny „Śmiały“ osłaniał tyły grupy od strony północnej. Tegoż dnia jednak wskutek przeważających sił ukraińskich pułk łódzki stracił połączenie z innymi oddziałami, w na-

stępstwie czego cała grupa zmuszona była cofać się na Sądową Wisznię. „Śmiały“ wyjechał rankiem następnego dnia na spatorowanie toru kolejowego aż poza Rodatycze; po drodze ostrzeliwał z armat wieś Wołczuchy, wracając zaś, pozycje ukraińskie pod Księzym Mostem; tu od strzałów artylerji ukraińskiej zostało rannych dwu podoficerów: Bogucki i Sieprawski. Tegoż dnia popołudniu wyjechał „Śmiały“ powtórnie w stronę Rodatycz, celem odbicia p. p. „Wściekły“, zdobytego przez ukraińców. Ponieważ jednak tor i mosty kolejowy były zniszczone i nie można było dojechać, rozpoczęła załoga atak na Księży Most. Po dwugodzinnej zacieklej walce zabrawszy zabitego jednor. Myszkowskiego ze „Wściekłego“, cofnął się pociąg do Sądowej Wiszni, mając jednego podoficera Jaworskiego lekko rannego. Przez następujących pięć dni, artylerja ukraińska ostrzeliwała huraganowym ogniem dniem i nocą stację w Sądowej Wiszni, podczas gdy piechota atakowała ze wzgórz. W czasie ostrzeliwania tego został pociąg dwukrotnie trafiony granatem, który zniszczył warsztat krawiecki oraz spowodował spalenie się saperskiego materiału wybuchowego. Oprócz kilkunastu wypadów w stronę Chorońnicy, pociąg wystawiał placówkę na torze, która była stale ostrzeliwana. Tu został ranny pchor. Bogusz, jednor. Chrzanowski i szereg. Gurwicz.

Wreszcie dnia 13 marca przybył bataljon żywiecki z odsieczą, który rozpoczął zaraz atak od strony Chorońnicy na północną część toru kolejowego. Załoga p. p. „Śmiały“ wspomagała ich wypadem, w czasie którego został ranny: pchor. Szubert oraz jednor. Reiss. Następnego dnia przybyły oddziały poznańskie, które oczyściły z wroga wzgórze na południe od Sądowej Wiszni i dopiero wtedy została ostatecznie Sądowa Wisznia wraz z p. p. „Śmiały“ oswoobodzona z zaciskającego ją pierścienia ukraińskiego.

Dnia 26 marca zjeżdża „Śmiały“ do Krakowa, skąd po 4-dniowym pobycie wyjeżdża do Warszawy. kończąc swój pięciomiesięczny okres walk na froncie galicyjskim.

12 kwietnia wyjeżdża „Śmiały“ z Warszawy na front litewsko-białoruski. W drodze pobiera z 1-go i 5-go p. Leg. rekrutów zamian za podoficerów. Na tym froncie bierze udział w akcji ofenzywnej naszych wojsk w celu zdobycia Baranowicz, będącej częścią wielkiej ofenzywy Naczelnika Państwa, mającej na celu oswoobodzenie Wilna.

15 kwietnia „Śmiały“ staje w Czemerach pod Słonimem, a wieczorem wyjeżdża jego część bojowa, złożona z 2 armat i kilku karabinów maszynowych, przez Słonim w kierunku Baranowicz. Spędziwszy posterunki bolszewickie na stacji kolejowej w Nowej Myszy, rozpoczyna „Śmiały“ gwałtowny ogień karabinów maszynowych i artylerji na obsadzoną przez bolszewików wieś Bałabanowicze. Następnego dnia rozpoczyna się pojedynek artyleryjski między „Śmiałym“ a artylerją bolszewicką na wzgórzach za Bałabanowiczami. W ten sposób wspomaga „Śmiały“ zaczepną akcję 7 p. ułanów. Następnego dnia bolszewicy poczynają się wycofywać z Bałabanowicz i okolicznych wzgórz. O świcie 18 kwietnia potrole nasze przeszkują wieś i okolicę, podczas gdy reszta załogi napra-

wia tor wysadzony w dwu miejscach przez bolszewików. Jednocześnie patrole nasze zapuszczają się za rzeczkę Myszankę pod Baranowicze, gdzie od kuli bolszewickiej zostaje ranny podoficer Staśkiewicz. Tegoż dnia wieczorem rozpoczyna się generalny atak na Baranowicze, bronione przez Chińczyków, polskie pułki, oraz marynarzy. Telefoniści pociągu pancernego „Śmiały“ biorą udział w tej akcji, podczas gdy pociąg przyjmuje do siebie rannych. Nad ranem następnego dnia zmienia „Śmiałego“ „Piłsudczyk“ — pociąg zjeżdża na odpoczynek do Słonima.

24 kwietnia wyjeżdża cały „Śmiały“ do Baranowicz i tu por. Małagowski zostaje komendantem węzła kolejowego Baranowicze. W cztery dni jednak później, po oddaniu komendy Baranowicz w inne ręce, wyjeżdża ze „Śmiałym“ przez Wołkowysk do Lidy. Tegoż dnia bada tor kolejowy w stronę Mołodeczna.

Następnego dnia rozpoczynają saperzy „Śmiałego“ naprawę mostu na Gawji; tu przyjmuje pociąg ochotników z miejscowych Polaków i przez następne dni naprawia tor w stronę Bogdanowa.

8 maja wyjeżdża część załogi „Śmiałego“ do Wilna na zdobytą pancerkę bolszewicką szerokotorową, która odtąd pod komendą ppor. Biegi jako „Śmiały szeroki“ będzie operować pod Mołodoczmem i Mińskiem, pozostając pośrednio pod komendą por. Małagowskiego.

Dnia 9 maja wyjeżdża cały pociąg do Jurajczek, i pozostawiwszy tam tabor spieszy z całą załogą do Bogdanowa i dalej do Wiszniewa. Tu załoga z karabinami maszynowymi i miotaczem min udaje się na pozycje nad rzeką Berezyną w celu wspomaganie grupy gen. Lasockiego. Po dwudniowym pobycie ściągnięto minierkę, zostawivszy tylko karabiny maszynowe wraz z obsługą, które przydzielono do kilku kompanji na odcinku kilkunastowiorstowym. Przez 12 dni karabiny maszynowe „Śmiałego“ wspomagały piechotę, by wreszcie 21 maja powrócić napowrót do pociągu. Tymczasem, przez cały ten czas, saperzy ze „Śmiałego“ zwężają tor kolejowy do samych pozycji, pracując już pod ogniem karabinów bolszewickich. Część bojowa pociągu stoi co noc przy kwaterze sztabu grupy w Bogdanowie — resztę pozostałego czasu zużywając na ćwiczenie rekrutów.

21 czerwca wyjeżdża cała pancerka do Baranowicz, skąd zaraz następnego dnia na pozycję za Chwojewo. Stan takiego pogotowia trwa przez cały tydzień. 28 czerwca odbywa się w obecności dowódcy grupy, gen. Mokrzeckiego, poświęcenie sztandaru oraz chrzest armat „Śmiałego“. Tegoż dnia w nocy wyjeżdża pociąg do Lidy, a stąd ze sztabem gen. Roji do Bogdanowa, by wziąć udział w ofenzywie naszej na Mołodeczno.

W nocy z 30-go na 1 lipca otwiera artylerja „Śmiałego“ ogień na wsie Pozy, Weronę, Berezynę i inne między Wiszniewem a Listopadami, będąc jednocześnie sama ostrzeliwana przez artylerję bolszewicką. Do 4 lipca trwa „Śmiały“ na pozycji pod Listopadami. W tej samej ofenzywie na Mołodeczno bierze udział „Śmiały szeroki“ od strony Wilna — tu pod stacją Zalesie od eksplodującej miny zostaje ciężko ranny: sierżant Urbaniec, kanral Stierba i ogniomistrz Kazimierz Małagowski, brat komendanta „Śmiałego“, który 5 lipca wskutek ran odniesionych umiera w Wilnie.

12 lipca wyjeżdża „Śmiały“ powtórnie do Baranowicz, rozpoczynając codzienne pogotowia na pozycji za Chwojewem. W tych dniach powraca ppor. Biega ze „Śmiałego szerokiego“ a na jego miejsce wyjeżdża por. Münnich jako nowy zastępca por. Małagowskiego.

23 lipca zjeżdża cały pociąg do Pogorzelec, by być bliżej pozycji. Dnia 24 lipca przy rozpoczęciu nowej serii operacji grupy gen. Mokrzeckiego udaje się „Śmiały“ za Chwojowo torem świeżo zwężonym jak najdalej. Tu tworzy on luźny łącznik prawego i lewego skrzydła grupy gen. Mokrzeckiego, wysyłając patrole na boki.

Dnia 25 lipca w czasie akcji zaczepnej ułanów od strony Małej Łysicy, wyrusza z pociągu oddział z 30 ludzi i 2 ker. masz. pod komendą por. Małagowskiego na skrzydła bolszewickie, którzy właśnie wycofali się do Bolszoy Łysicy. Oddział ten dostał się w krzyżowy ogień bolszewików, składających się wówczas z pułków polskich i Chińczyków, którzy obchodzili z flanki powyższy oddział. Mając rannego kaprała Rafałowskiego, sierżanta-szefa Sknurzyła i ciężko w brzuch rannego komendanta, zmuszony był oddział

wycofać się wśród gwałtownego ognia bolszewickiego, pod groźą zajścia mu na tyły przeważających sił nieprzyjacielskich. W 5 godzin później umiera por. St. Małagowski w szpitalu w Baranowiczach, zdając komendę pociągu w ręce ppor. Biegi.

Następnego dnia pociąg ubezpiecza dalej tor kolejowy, zwęża go w głąb prawie na 3 wiorsty i 28 lipca bombarduje z bliska całą swą artylerią wieś Bolszaja Łysica, obsadzoną przez bolszewików, będąc równocześnie ostrzeliwanym przez 12 cm. działa. Do końca lipca pełni dalej służbę ubezpieczającą, by wreszcie 1 sierpnia, zluzowany przez p. p. „Piłsudczyk“, wyjechać przez Lidę do Łap, stąd zaś po tygodniu do Warszawy, gdzie przeznaczono pociągowi na miejsce remontu Nowy Sącz, do którego przybywa 21 sierpnia.

Stąd, po naprawie gruntownej, wyjeżdża „Śmiały“ 5 października powtórnie na Litwę, 9-go staje w Lidzie, stąd zaś, wyekwipowany na zimę, wyjeżdża 4 listopada na front i rocznica jego wyjazdu w pole rok temu, zastaje go znowu jadącego na nowe bitwy nad starą napoleońską Berezynę.

Pierwsze dni kompanji Akademickiej.

Dnia 3 listopada 1918 r., w 3 dni po oswobodzeniu Krakowa od Austryaków postanowiliśmy utworzyć kompanję akademicką. Choć wiec w tej sprawie był nieco burzliwy — w godzinę jednak potem zapisywano już ochotników w „Domu Akademickim“. Zgłosiło się nas stukilkunastu. Natychmiast umundurowano nas jako tako i uzbrojono. Jeszcze tego samego dnia rozpoczęliśmy służbę na dworcu kolejowym, t. j. na jednym z najważniejszych posterunków. Ciekawy to był widok, gdy z pod płaszczy wojskowych wyglądały nam spodnie cywilne, lub z za bluzy żołnierskiej sterczały figlarnie rąbek świeżutkiego kołnierzyka. Byliśmy jednym z pierwszych oddziałów, zorganizowanych przez wojskowość polską. Pierwszą służbę pełniliśmy bez przerwy przez 56 godzin. Służowały w wreszcie 2 kompanje baonu akademickiego, stworzone na przędcie. W ciągu paru dni następnych sformowano trzecią kompanję. Zajęliśmy koszary na placu Kleparskim i rozpoczęliśmy ćwiczenia.

Wtedy już dochodzić poczęły do Krakowa straszliwe wieści z Kresów Wschodnich. Czerń ukraińska, wspomagana przez ginące Austrię i Prusy, targnęła się na Lwów. W zimny poranek listopadowy ujrzeli lwowianie w swych murach obce jakieś wojsko. Wtedy garść młodzieży lwowskiej, garść kobiet i dzieci chwyciła za broń, na ulicach miasta rozpoczął się bój z przeważającym wrogiem, bój o polskość Lwowa.

Nie mogliśmy słuchać tego spokojnie. Po usilnych staraniach z naszej strony, generał Roja, ówczesny komendant wszystkich sił zbrojnych Galicji Zachodniej, zezwala na utworzenie 1-szej połowej kompanji baonu Akademickiego. W ciągu paru godzin lista ochotników była gotowa. — Komendantem kom. zostajeznaczony rotmistrz Kozicki, komendantami poszczególnych plutonów: por. Radecki, podporucznicy: Buczma, Stachowicz i Blumski. 19-go listopada wyruszyliśmy w kierunku Przemyśla. W dniu tym, pamiętnym dla nas, żegnały wychodzącą kompanję o świcie, stare, kochane mury Krakowskie, żegnała pustka ulic i cudny hejnał z marjackiej wieży. Słiśmy—ludzie, co dotychczas broni nie widzieli i nie wachali prochu, ludzie od książki i pióra, pierwsi żołnierze-akademicy. Ciężki był plecak i karabin — lekką otucha w sercu. Załadowano nas do wagonów. Po całodziennej podróży, wylądowano w Przemyślu. Miasto nosiło ślady niedawnych walk. Szyby pobite, bruki powyrywane, kamienice podziurawione kulami. Najajutrz wyruszyliśmy dalej na wschód. Nie do upragnionego Lwowa jednak. Bez protestu trzeba było znieść ten zawód. Kompanję zostawiono jako ochronę stacji w Sądowej Wiszni. Na drugi dzień, część posłano na wyprawę karną do wsi Bortiatyn, 10-ciu zaś ludzi z ppor. Buczmą udało się na załogę

do Mszany. W Sądowej Wiszni pozostał więc b. słaby oddziałek z rotm. Kozickim i por. Radeckim na czele. Pod wieczór danem nam było otrzymać pierwszy chrześć bojowy i zakosztować nareszcie tej dziwnej wojny, podjazdowej, nierównej — zwycięskiej. Pod wieczór melduje posterunek inspekcyjnemu że około bloku lwowskiego kręcą się jacyś ludzie. Równocześnie od strony stacji rozpoczyna się rzadka strzelanina. Wybiegamy — gotowi. Z za płotu, co odgradza stację od drogi, podają coraz to gęstsze strzały. Załoga nasza wysypuje się żywo z budynku i rozpoczyna ogień. Atakujących Ukraińców mogło być z 80. Prócz karabinów mieli ze sobą granaty ręczne i używali ich ile wlezie. Jeden granat wpadł do pokoju przez okno. Stał tam właśnie szeregowiec Piasecki. Nie tracąc rezonu, złapał granat w powietrzu i cisnął z powrotem w kupę Ukraińców. Niewiem czy przyjemnym był dla nich taki tenis. Jak zwykle jednak, wroga było kilkakrotnie więcej, toteż pomimo brawury naszych chłopców, położenie stawało się coraz kłopotliwsze. Ukraińcy zachodzili nam tyły i wylazili już z drugiej strony owego płotu. Nagle, jak z pod ziemi wyrasta porucznik Radecki ze swoją maszynką. Dobra nasza! Kulki terkocą i szyją starannie i równiutko w szpaler Ukraińców, wychodzących z za płota. Nie spodobało im się to przywitanie. Toteż pomozoliwszy się jeszcze trochę, dali nam spokój, wycofując się niezunełnie składnie, ale zato bardzo w porę. Zostawili na pla u swego dowódcę i 3-ch żołn. Z naszej strony był jeden żołnierz lekko ranny. Okazało się później, że por. Radecki, wybawiciel całej stacji (i nasz, ma się rozumieć) spał sobie spokojnie w domu oddalonym od stacji o kilkaset kroków. Zbudzony niespodzianym odgłosem strzałów, z popołudniowej, chociaż niewątpliwie przedobiedniej, drzemki—zerwał się, by biedz do swoich. Okazało się, że jest od nas odcięty sznurem Ukraińców. Więc cicho a szybko, pod osłoną zmierzchu, przemknął przez nieprzyjacielską linię jakby rów przeskoczył, dopadł do swojej maszynki i w samą porę przyniósł nam zwycięstwo.

Nad ranem wrócili pozostali koledzy, zazdroszcząc nam pierwszej potyczki. Był to jednak dopiero początek obrony Sądowej Wiszni. — Co chwila i co dzień spodziewano się wznowienia ataku. Służba stawała się nużąca i uciążliwą. Co noc biedny akademik zziębnięty i niewyspany (gorzej niż przed egzaminami) fałszywym alarmem budził towarzyszy. Tacy to jeszcze byli z nas żołnierze! Przyszły jednak z czasem trudniejsze i skuteczniejsze lekcje wojowania. Po paru tygodniach służby w polu, po przeglądzie kompanji przez gen. Rozwadowskiego, wcielono nas jako kompanję szturmową do pociągu pancernego „Śmiały“, gdzie zaczęła się dla nas dopiero prawdziwa wojna.

Z bojów o Przemyśl i Lwów.

(Według opowiadania por. Małagowskiego).

A więc na odsiecz... Złapało mię to całkiem nagle. Do Krakowa przecież przyjechałem tylko na dzień — po rzeczy.

Chwila — i już jestem zaliczony do pociągu. Nie pojedziesz już, niebożę, z powrotem do Warszawki. Jenó na wojenkę i to, niestety, niezbyt daleką.

Już zadudniły koła pod ciężkimi pancernymi wozami. Kapitan Hickiewicz prowadzi pociąg. Siedzę w bastjonie i całą duszą wchłaniam widoki, które się przesuwały, swąd lokomotywy, błady mat pancerny. Wszystko to już było. Przypominają mi się boje z bolszewikami, w których tereny taksamo wrzynał się mój pociąg.

Czy teraz nie to samo? Ta sama partyzantka chłopska, ten sam front bez ustalonej linii, też same ryzyka i możliwości.

Nasz „Śmiały“ idzie pierwszy na czele szczupłej odsieczy w nieznane ruskie mateczniki.

Przed nami lśniąca wstęga szyn, biegnąca w bezkres, a na niej gdzieś — twierdza Przemyśl.

Oto już jego wieże. Sanu wstęga przed nami i most przez San ogromny, żelazny, odrutowany, jak łapka na myszy.

Podminowali go z pewnością.

Wyskakuje sprawdzić to patrol. Strzelanina ruska, i tak dosyć ożywiona dotychczas, potraja się. Wszystkich pięciu wywiadowców zostaje rannych i wraca, brocząc krwią.

Zbadać most jest niemożliwe.

Ano trudno! Rozpędzamy się, parę wstrzymujemy, żeby nam nie zasłaniała widoku i wpadamy na most pełnym pędem.

Chwile idą krótkie, ale emocjonalne. Most dudni okropnym szczękiem żelazstwa pod ciężarem pociągu i nie chce się skończyć. To u drugiego końca pewno założono minę...

Uf! — wypadliśmy na drugi brzeg i „Śmiały“ staje, jak wryty. Jesteśmy w sferze tak szalonego ognia, że od pancerza, po którym idzie ciągły warkot płaszczących się kul, łuna bije.

Przez małe otwory obserwacyjne wlewa się strumyk kul do wnętrza. Kilku naszych ludzi pada. Odgryzamy się z naszych kulomiotów. Nic nie pomaga.

Aż dopiero, gdy prażyć poczyna nasze działo poważnym basem, opór słabnie. Zaraz pierwszy nasz szrapnel pęka na dachu domu obsadzonego przez Rusinów. Następne równie skuteczne.

Przez most już suną szare mundury naszego 5-go pułku. Stara gwardja! Wpadają do miasta. Huk walki toczy się dalej i przewala się kłębami strzałów

po splątanych ulicach miasta. Lokomotywa sapie z zadowoleniem.

Nazajutrz Przemyśl był zupełnie w naszym ręku. Dalej! Na Lwów!

Wpadamy na pierwszą zasadzkę chłopów pod Medyką. Przebijamy się jednak z powrotem do Przemyśla. Nocą wyruszamy ponownie. Tym razem za nami wlecze się wąż pociągów, ładownych wojskiem wszelkich rodzajów broni. Nasz „Śmiały“ sunie powoli naprzód wśród głębokiego śniegu. Co raz to stajemy, naprawiając zerwany tor i mosty. Zrzadka witają nas chłopci odległymi strzałami.

Aż po dwóch dobach dopiero tej mitrężnej jazdy zajeżdżamy do Lwowa, na dworzec główny, który jest w rękach polskich. Jesteśmy pierwsi, którzy przyszedli na pomoc ze świata. Nie zapomnę wrażenia tego wjazdu! Wszędzie snują się uzbrojone postacie. Twarze jakieś szczupłe i zczerniałe. Oczy błyszczące. Kobiety z bronią. Malcy, dźwigają na rzemieniach większe od nich karabiny.

Tu — czuć chęć do walki, wewnątrz rwący najtajniejszy, potężny strumień radości życia i wiary.

Tam — przed nami — spowity w nocne cienie Lwów, pełen wroga.

A więc świtanie atak..

I skoro świt—„Śmiały“ rusza. Przed nim grzechoczą trzy puste platformy. Kierujemy się tak ku Podzamczu.

Aż kiedy zaczerniał przed nami most na Pełtwi, który stanowi linię bojową, odczepiamy „lory“ (platformy) i puszczamy je z góry wolno. „Lory“ dopadając we wściekłym pędzie do mostu i rozbijają się, spadając z nasypu na wyrwanej szynie. Nie udało się Rusinom niespodzianka.

Niby w odwet za to, potęguje się ich ogień. Mimo to polscy obrońcy Lwowa wyskakują z najprzeróżniejszych zakamarków, machają uroczyście czapkami i chustkami i pozdrawiają pociąg. Radość to tem większa, że narazie nie zorientowali się, co to za monstrum wpada na tor od kilku tygodni zamarły i powitali nas strzałami.

Ukraińcy też wiwatują po swojemu, aż trzeszczy pancerz. Z za mostu zaciekle bije prosto w okienko karabin maszynowy. Iście piekielnym ogniem ziele do nas młyn. Padają znów ranni w wagonach. Pada ciężko ranny w oko i w nogę waleczny komendant pociągu, kapitan Hickiewicz. Obejmuję komendę.

W tamtej stronie Pełtwi wśród rusinów wszczyta się panika. Jak sierpem rzucił — przed nami naprost w odległości pół kilometra przecina szosę droga. Skrzyżowanie jej z torem wypełnia nagle potok ukra-

inńskiej piechoty, koni, wozów, jaszczków, kuchen polowych, jezdnych, karetok sanitarnych.

„Śmiały” stoi nieruchomo na miejscu i aż drży od ognia wszystkich swych karabinów maszynowych i działa, z których szyje w skotłowaną gardziel.

Gołem okiem doskonale było widać straszne rezultaty naszej kanonady. A jednak lawa ruska niepowstrzymanie szła, szła i szła, ścieląc się pokotem i przez pół godziny dygotał pociąg w febrze wystrzałów, niby bastion ruchomy.

Przypominało to z „Ogniem i Mieczem” forsowanie mostu przez Krzywonośa pod Konstantynowem.

Aż po upływie pół godziny, gdy już nie stało żeru dla rozpalonych łuf, wycofujemy się na dworzec główny dla oddania komendanta i rannych towarzyszy.

Odwożę ich do szpitala. Ogromne sale tonące w półmroku nikłych światła. I te setki dziecinnych ciał, zalegających pryce, setki rozszerzonych oczu ciężko rannych, wczoraj dzieciaków, dziś żołnierzy.

Nazajutrz 21 listopada wyruszamy znów o świcie. Na krętych, b. wysokich nasypach ku Podzamczu czujemy się trochę niepewnie, tymbardziej, że przez gęstą mgłę nic nie widać.

Rusini „powinni byli” spuścić nas z nasypu. Ale tak szybko wymknęli się nocą, że widać nie zdążyli. Pomału, ostrożnie dojeżdżamy do mostu na Pełtwi. Stajemy tuż przy zwalonych z nasypu platformach, 100 kroków od mostu i wczorajszej linii bojowej. Dnieje. Cisza. Stoimy 2—3—5 minut. Nikt nie strzela. Wychodzę z dwoma ludźmi i ostrożnie zbliżam się do rzeki. Po pewnym wahaniu wchodzę na drewniany mostek, na który ani my, ani rusini nie śmieliśmy jeszcze wczoraj spojrzeć.

Cisza.

Dochodzę do okopu, gdzie wczoraj jeszcze stał nieprzyjacielski karabin maszynowy. Pusto. Tylko za węglem domu leży trup feldfebla z Żółkwi (jak opiewały dokumenty), kilka taśm od karabinów maszynowych, granaty ręczne, rakiety i inne rekwizyta wojenne, porzucone w pośpiechu przez Rusinów.

Zdejmujemy miny, założone na moście (o rusini, gdzie wasz olej w głowie? Samiście rozebrali tor przed podminowanym mostem. Dwa grzyby w barszcz w tym wypadku więcej zaszkodziły kucharzowi, niż tym, dla kogo barszcz był przyrządzany). Niebawem zostaje naprawiony tor — znów świat przed nami otworem. Huczy lokomotywa. Ludzie biegną do wagonów. Hej! — naprzód!

Wstaje dzień tak piękny, jakiego już od oddawna nie było. W suchem, zlekką mroźnym powietrzu rzeźbią się wyraziście najdalsze perspektywy.

Ludek lwowski wysypuje się tłumnie na ulicę. Pierwszy to dla niego, po trzech tygodniach siedzenia po piwnicach i lokalach dzień, w którym można wyjrzeć na światy Boży bezpiecznie. Pociąg posuwa się wśród niemilkających okrzyków i wiwatów, wśród łez i płaczu, pomieszanych ze śmiechem.

Drugi jeszcze most (już w mieście) jest podminowany. Powoli docieramy aż na dworzec Podzamcza. Stamtąd krętymi wirażami na Łyczaków.

Stacja w Łyczakowie wzięta była po zaciętej walce. Widywałem łany ludzkie, skoszone ogniem karabinów maszynowych przy świetle reflektorów ciemną nocą,

jak żyte witał dzień mroźny, skostniałe w szponach śmierci. Widziałem liczne pobojowiska przez cztery lata tułaczki wojennej, ale nic podobnego, jak pobojowisko Łyczakowskie nie widziałem.

Ogień polskich karabinów poszedł tu nie po spokojnej linii okopów, ale po rwącej, jak lawina, do ataku masie.

W tym miejscu wrzała partyzantka ruska, tak typowa dla walk lwowskich. Każdy tu działał sam, na własną rękę z *maximum* inicjatywy osobistej. I tak te trupy zastała śmierć. Niektóre z nich zdawały się dotąd strzelać, wyciągając wciąż jeszcze przed siebie stężale ręce, z których już pozabierano karabiny. Innego złapała kula w pełnym biegu, a w rękę została mu jeszcze kartka meldunkowa. Jeden trup, jak żywy został w pozycji siedzącej z kawałkiem chleba w ręku; siedział był do śniadania za wałem, bezpieczny od kul polskich, ale widocznie szrapnel sięgnął go z góry.

Na samej stacji Łyczaków trupa najwięcej. Wrzała tam najzaciętsza walka, zwierająca się w bój na bagnety raz i o raz.

Teraz trupy tylko, zwieszane w głuchym milczeniu przez parapety okien dawały tej walce świadectwo.

Po krótkiej naradzie z komendantem st. Łyczaków, postanawiam „popatrzeć” na Rusinów, którzy odeszli ze Lwowa na Winniki.

Iskrzący, jasny, zimowy dzień. Kto nie zna podmiejskich okolic Lwowa, temu nie potrafię uprzytomnić ich wspaniałości. „Śmiały” dumnie powiewa narodową flagą i płynie poważnie wśród śniegów. U stóp naszych doliny, wioski.

Aż wreszcie, niedaleko Winnik, rędząc torem nad urwiskiem zwieszonym, wpadamy na rusińskie arjergardy, które ciągną na dole szośa. Pod ogniem naszym oczyszcza się ona błyskawicznie; maszerujące oddziały rzucają się w las.

Dojeżdżamy do Winnik. Malownicze to miasteczko wzrasta pod nami nagle niby z pod ziemi, jak tylko minęliśmy ostry zakręt ostatni.

Zatrzymuje się czarne cielsko pociągu, zwieszane, niby sęp w górze nad miasteczkiem, którego ulicami płynie ruskie mrowie.

Zwolna, flegmatycznie artylerzysta, porucznik Hrebenda, wymierza działo. Kulomioty, nerwowsze, wcześniej zaczynają szyc w wyloty ulic. I dzwoni tak Winnikom hejnał naszego powitania dobre pół godziny, aż martwa nieruchomość siada na rynku, ulicach i zaułkach.

Wracamy więc na Lwów. Aliści, nie dojeżdżając doń 4 kilometry, spotykamy przedni patrol wojsk naszych.

Dobra nasza! Jazda na Winniki z powrotem. Znów mignęły chwilę przed nami góry i doliny i szośa, z którejśmy dziś stracili arjergardę ruską. Oto już zakręt ów ostry, ostatni. Oto znowuż rojne Winniki. Ale nie dajemy się skusić widokiem ruszających się w ulicach ruskich kolumn. Pełnym pędem mknie „Śmiały” dalej, okólną linią, kilometr dłużej, na dworzec winnicki, nie dawszy ani jednego strzału.

Pod samym dworcem dopiero podchorąży Majewski celnym strzałem z karabinu na miejscu kładzie jakiegoś rusińskiego żołnierza przebiegającego ku stacji.

Strzał ten otwiera walkę. Rozpoczyna się piekielna strzelanina zaczajonych Rusinów. „Śmiały”

wpada, ziejąc ogniem, na stację i bierze ją tryumfalnie w posiadanie. Odgryzamy się teraz na wszystkie strony. Nawet karabiny ręczne puściliśmy w ruch. Ale robi się ciepło. Między nami i naszymi całe miasteczko Winniki, któreśmy okrażyli, a w nim dwa bataljony Rusinów. Ci ostatni zachodzą nam od tyłu. Usadził się tam, na bliski dystans od nas ich karabin maszynowy, który młóci po pancerzu aż pociąg grzmi i piekielnie nam doskwiera.

To też walimy na pożegnanie parę razy z armaty i wycofujemy się z powrotem. Znów mamy czarną ścianę, tory za nami.

O wojenka, jakże rozkoszny twój trunek! Jak dobrze, czuć ręce całe, nogi całe, siedzieć oto sobie jak pan w swej wieżycze z głową wytkniętą na szerokie pola i jechać sobie aż miło do Lwowa i wdzięcznych Lwowianek.

Trącam nogą w kark kulomiotacza. Siedzi on nad frontowym kulomiotem tuż podemną i takeśmy się już zgrali, że obu nogami daję mu najdrobiazgowsze wskazówki przy strzelaniu.

— Maciek!

— A ino?

— A na odwrtkę!

— Rżnij!!! — odrzuca ochoczo kulomiotacz i jeszcze niżej pod nim siedzący artylerzyści. Poczym przez podniesione żaluzje w świat szeroki toczy się roześmiana piosenka.

Po walkach tedy pod Przemyślem i Lwowem. zagnieździł się nasz „Śmiały“ w tym mieście na dobre. Lwów, była to nasza baza, a z niej wkrąg, szła sieć naszych wywiadów głębokich — na Stanisławów, na Stry, na Sambor i Podhaice aż ku Rawie Ruskiej.

Na tej ostatniej drodze pod Glinną Nawarją mieliśmy z Rusinami ciepłą przeprawę.

W Glinnej Nawarji n'e byliśmy dotąd. Stacja to za górą stromą i za zygzakiem podwójnym boru ukryta.

Posuwa się nasz pociąg pomaleńku, pomалу; urwiska z jednej strony strome, wyniosłe, gęstym młodniakiem na zwisających szczytach porośłe, z drugiej dół zalesiony, czarny.

I te zygzaki toru, zza których licho wie, jak nas powitają. Bo że powitają, to pewna.

Zdziwienie nasze wzrasta, bo oto mijamy jeden zakręt i drugi — nic — tor jak stół równy. Aż gdyśmy ostatni załom minęli i otworzył się widok na stację przed nami, okazało się, że tor zerwany. Zatrzymaliśmy się, a jednocześnie całe strome zbocze góry, po prawej ręce od nas, zatrzęsło się od strzałów nad samą naszą głową.

Kulomioty tedy, co prawego boku bronią, wzniosły nosy, szperać po owych zboczach zaczęły niby psy, kiedy za myszą stóg siana prują.

Bum — bum — bum wali armata w stację, cel nasz główny. Robi się gorąco i wesoło. Dał oto Pan Bóg taki wesoły, cudny dzień. Ani żywego ducha wkoło. Czarny las jeno wisł nad torem i hen na lewo od niego czarnym kobiercem w dół się ściele, w doliny schodzi. A tymczasem, las ten tak piekielnie terkocze w nas, a my w niego. Dziwne uczucie, tu w stalowym pudle tkwić i wymieniać z mariwą przyrodą salwy, aż się grzmot przetacza.

Ale oto żywa istota. O pięćdziesiąt, nie, o czterdzieści kroków przed nami tor przecina droga.

Znagła na nią z za zakrętu, z po za grupy drzew wypada jeździec i w pełnym pędzie sunie w stronę szlabanu. Kopię siedzącego podemną kulomiotacza. Widzę, jak troskliwie ryjek karabinu maszynowego, niby rozumna istota bierze na cel skrzyżowanie drogi z torem.

Jeszcze chwila...

Na tor ogromnym susem wskakuje Ukrainiec. Widzę go dobrze. Ma austriacki kabat ułański na sobie.

Wachlarz kul z naszego kulomiotu go wita. Wygiął się, jakby chciał zrobić „most“, widać kule mu tuż przy plecach szły. Przesadził tor. Wpada w las. Cały wyszedł! Zawstydzony ryjek kulomiotu milknie, poczym z pasją zwraca się na stację.

Wyjeżdżamy na nią, tor poprawiwszy pod ogniem i obejmujemy w posiadanie.

Strzały milkną. Jesteśmy zwycięscy.

Z dolnej wieżyczki, wyścibia się ku mnie mazurski płowy łeb i gapiowato zadarty, filuterny nosek kulomiotacza: „Szkoda tego *sielmy* rusina, panie poruczniku, cośmy go chybiły“ (z frontowego kulomiotu strzelamy *my*: ja, Józiek i kulomiot.

— A szkoda — odpowiadam z przekonaniem.

* * *

Tak strześliśmy w ciągłych potyczkach toru — nasz „Śmiały“ i „Piłsudczyk“ poległego kapitana Wilka.

„Tłukliśmy się“ sami, tłukliśmy się w kombinacji z piechotą. Zwykle pocziwe „akademusy“ taplały się w miękim błotku i papie śniegowej i szły kontynuować walkę, zaczęta przez pancerny pociąg.

Nasze „pancerniki“ to arystokracja. Siedzą sobie w suchości i wyśpiewują:

Cóż to za gęganie?

Co za świńskie kwiki?

To z boju wracają

Już akademiki.

Idzie tyraljera

Okrutnie strzelając,

A polem ucieka

Wystraszony zając.

Rodzą się te wiersze na kamieniu, rym i rytm mają nieco kamienisty, ale smakują!

Zapisują na świeżo każde zdarzenie, są żywą kroniką wojny, a to grunt.

Ten wypadek z zającem udało mi się na własne oczy oglądać.

Wkopany w rów strzelecki oddział akademicki, współoperujący z pociągiem, strzelał z odległości 80 kroków do rusińskiej linii, która żywo odpowiadała. Wtem szarak porywa się między linjami tuż przy polskim okopie. Grzmią strzały i biedny kot, wlekąc zadnie nogi pomyka ku rusińskiej pozycji.

Na ten widok, wskakuje z polskiego okopu kilku zbyt gorliwych myśliwych i pędzi za zającem. Pod gradem ukraińskich kul, łapie go wiara za tylne skoki i z tryumfem przynosi do swoich.

Był w obiad zając, a na wieczerzę dzwonił nowy refren piosenki...

Aż i „porządne“ wojska przyszły. Było to pod Obroszynem. Napierano nas silnie. Pociąg zasłaniał odwrót. Wtedy rozwinął się do kontrataku bataljon „beselerów“. Nic podobnego przez całą wojnę nie widział! Tyraljerę prowadzą, jak balet. Zrzadka, a równo idą, pod górkę zgarnęło ich, a gdy z niej, poczęli znów spuszczać się na wieś — rzekł się paw po śnieżnej płaszczyźnie równiutko ogon roztoczył.

Jedziemy za nimi i przyglądamy się. Porucznik Hrebenda wali! — no, ten by chyba świece z działa mógł gasić, albo białogłowom korki u bucików z armaty urywać!

Pierwszy strzał — wali się kopała cerkiewki. Niby rój czarnego robactwa wywala się z niej skłębiona masa rusinów i rozpierzcha po opłotkach.

Drugi strzał — trysnęła fontanna ceglanych ułamków murowanej plebanji. I stamtąd sypią się brojni. Ależ i czują macie, poruczniku Hrebendo!

„Beselery“ już są we wsi.

Wracają niebawem zziązani, ale dumni. Żołnierz to prawy i ćwiczony na podziw.

„Niech żyją beselery!“ krzyczy pociąg.

A oni wznoszą swoje młode bezwąsne twarze i śmieją się siwemi oczu.

Niemasz już krwawych przezwisk, nazw haniebnych. Został tylko polski żołnierz, który walczy.

* * *

Jest coś podobnego do walk morskich w tej taktyce bojowej naszego pancernego pociągu. Równie niepewnie wrzyna się człek w nieznane, obsadzone przez wroga tereny i czeka, że lada chwila eksploduje pod nim mina, pod relsami ukryta:

Równie nieprzenikliwe pancerze otaczają załogę pociągu, równie pancerne wieże strzelnicze sterczą nad stalowym kadłubem, niby nad pomostem, równie przykuty jest każdy z nas do swego stanowiska, równie marny los czeka nas po zdemontowaniu pociągu, jak okrętową załogę po zniszczeniu okrętu, Piechota, kawalerja, saperzy, każdy tam orze jak może, a jak jest źle, każdy sobie radzi. My jesteśmy związani ze sobą, z pociągiem w jedno. On bez nas, my bez niego nie znamy nic.

Podobieństwo potęguje się w walce, zwłaszcza w walce z nieprzyjacielskim pociągiem pancernym. Siła wtedy zależy od tego, kto pierwszy zdoła w pojedynku artyleryjskim utracić przeciwnika, czyje nerwy na dłużej starczą, kto dłużej placu dotrzyma.

Bój taki mieliśmy pod Hermanowicami. Wróciliśmy właśnie z patrolowania okolicy aż z pod Ni-

zankowic. Raptem natykamy się na tor, który chłopstwo za nami zerwało. Wyskakują ludzie z narzędziami, a tu sąsiednia wieś, Drozdowice, poczyną prażyć do nich ogniem karabinowym. Nasza armata zwraca się ku Drozdowicom, na lewo, i zabiera się do obstrzelania ich.

Wtem z za zakrętu od prawej ręki po tejże linii wypada pełnym pędem na nas pociąg.

Nimeśmy głowy odwrócić zdołali, rozlega się działowy huk ukraiński! Wpadł sobie i wali. A nasze działo narychtowane hen! w pole...

Tymczasem ten „złodziej“ (jak mówi Józiek) wali do nas znowu z armaty. Szczęście, że po raz drugi chybia. Cofa się teraz, dymiąc silnie (ze strachu — opowiada potem Józiek) zakrętem na wzgórek.

Ale jeśli on się boi, to czemu my się nie mamy bać? On już się wystrzelał przynajmniej, a nam mało co się nie dostało. Stoi tam teraz za górką (nie kombinuje widać, że zdradza go pióropusz dymu) i niechbyśmy tylko pokazali nos, pięknie nas spotka!

Mija pięć minut. Oba „pancerniki“ sapią i czekają wizyty.

Wreszcie brat-rusin wyjeżdża delikatnie z za górki.

Jezu rety! Jak huknie porucznik Hrebenda... Rusini w nogi. My za nim. On coraz większy pęd bierze. My też. Walimy z tej naszej bożej armaty aż huczy. Przepędziliśmy go aż za Niżankowice. Rezultaty strzałów Bogu wiadome, ale Józiek klnie się, że go „dojmało“.

* * *

Objawił nam się w załodze Diogenes.

A było tak. Przyjechał gen. Rozwadowski i lustruje pociąg. Chwali maszynistę. Morowy dziadek jest ten nasz Raszke! Ma 50-tkę, brodę jak się patrzy, cywil jest i nie nosi munduru, bo służy „z wolnego“, z ochoty.

„Zuch jesteś“, prawi generał, „porucznik chwali Ciebie. Chcę Ci dać nagrodę. Czegobyś chciał?“

Raszke przestępuje z nogi na nogę. Znać, że nie lekceważy sobie generalskiej łaskawości.

Nagle twarz mu się rozjaśnia. Odgarnia marynarkę i prezentuje, cywil nieszcześny, nader zdekompletowany garnitur. Guzików nie ma czym przyszyć, nici mu brak.

Nazajutrz paradował stary akuratnie obszyty.

Generał przysłał mu przez adjutanta szpilkę nici.

Chodzi teraz i wszystkim prezentuje guziki.

„Dobra nić, generalska“...

Hej! Wojenko, wojenko!



Z życia pociągu.



Załoga.

List z pola.

(pisany przez komendanta Małagowskiego do przyjaciela).

Słonim, 16/4 3 m. 30 nad ranem.

Żałui, że Cię tu niema, tak jak ja żałuję, że nie mogę raz wreszcie pokazać Ci czegoś efektownego i zrehabilitować opinii szarego życia żołnierza nowoczesnego. Nasza wczorajsza popołudniowa wyprawa ze Słonima pod Baranowicze była czymś par excellence romantycznym. Wyjechaliśmy o 4 m. 15 po południu przy cudnej pogodzie młodziutkiej wiosny czarno-ruskiej. Most na Sz. przejechaliśmy dosłownie natychmiast po wbiciu ostatniego gwoźdźcia w szynę na wyreperowanym dzisiaj moście („było się trzymało“). „Honorowo“ nie schodziliśmy z pancerki, choć nikt z budujących go „legunów“ nie mógł „się przysiąc“, że „wytrzyma“. Ręczył tylko inżynier, ale wiesz w jakiej ogardzie mamy cywilów i o ile mniej wiary jemu dawaliśmy, jak naszym legunom, którzy dla umożliwienia przejścia pancerce pracowali kilka godzin nadprogramowo, „ledwo ich szlag nie trafił“.

„Śmiały“ ma szczęście, bo znów na terenie t. zw. neutralnym był pierwszym pociągiem od listopada.

Ten teren neutralny ciągnął się do przedwczoraj od Słonimia mniej więcej do stacji I. i stacji W. Nie są to właściwie stacje, ale tylko platformy przy ogromnych porębach leśnych. Cała droga do Baranowicz — to wspaniałe, doświadczone lasy. Kazio jest rozpromieniony, widział przebiegającego lisa, milion jastrzębi, kun, żmiji i padalców, co go taką radością napełnia, że nawet rozmawia z nami. „Brandlerzy“, t. j. obsługa 9-centymetrowej „brandlówki“ — Jerzy i Władek są bardziej krytycznie usposobieni, ale choć się nie lubią entuzjazmować, muszą przyznać, że wojna bywa piękna. Posuwaliśmy się około 20 klm., nie wiedząc, gdzie spotkamy, (i czy spotkamy) nasze wojska, które poprzedniej nocy wymaszerowały. Na tej przestrzeni spotkaliśmy tylko jeden domek zamieszkały, a w nim jedną rodzinę. Więcej nic i nikogo. Było tylko — niebo, szyny i las.

Ale „Śmiały“ ma szczęście (tfu, tfu!). W Dekotach i Diedkowiczach pod Połonką spotkaliśmy naszych „obywateli“, którzy rankiem zajęli już byli N., M. i B. pod samymi Baranowiczami, ale kontratakami zostali zmuszeni do wycofania się cokolwiek w tył. Za to sąsiednia lewoskrzydłowa grupa posunęła się aż do linii... W D. sprawiliśmy nie byle jaki efekt: byliśmy pierwszym pociągiem, powiadam, od listopada. Z odległej o pół klm. od toru wioski, cwałem wybiegli wszyscy oficerowie, konie, leguni, baby, chłopci, no i naturalnie „chłopki“ — jacy tylko tam byli.

Oglądano nas z pewnym niedowierzaniem, „jak my tu mogliśmy przyjechać“, tak że doprawdy miałem wrażenie takie, jakbym podróżował samochodem po Chinach Wschodnich lub Alasce.

Leguny stare twierdziły, że bolszewików nigdzie nie było, ale rekruci zeznawali znów zgodnie, że „vorückowało“ na nich z 10 bataljonów, a z armat to b.li jak grochem — ziarnko przy ziarnku.

Nie wiedząc komu wierzyć — ruszyliśmy naprzód. Znów lasy i lasy — świerkowe, sosnowe, brzozowe lasy.

Na st. Sz. zauważyliśmy uciekający patrol nieprzyjacielski, który puściliśmy nieostrzeliwując. Na stacyjce został ppor. Blumski i 1 kar. masz. z 4 ludźmi (naturalnie Ucherek i Niedziałkowski). Ostrzeliwali się później tylko... z naszymi ułanami.

Czasem polanka, nawet pole ale zaraz znowu lasy — bez końca. Jak wielką niespodzianką dla naszych najmilszych była ta wyprawa, świadczy fakt, że nie tylko tor nie był nigdzie zerwany, ale nawet zwrotnice były ustawione należycie. Jeden z moich (Żukowski) stał był tu kiedyś z Legionami. Teraz siedzi pode mną, wygląda przez uchylone drzwi i ciągle obiecuje, że „jak tylko ten las się skończy — będzie polana, a za polaną po lewej ręce na dole wieś, to B“. Ale ta teoria w praktyce napotyka na pewne trudności. Przedewszystkiem las nie chce się bynajmniej kończyć. Potym wypadamy na polankę istotnie, ale za nią niema żadnej wsi — tylko znowu las! Za tym lasem nareszcie — polana! Ale za polaną — tylko las. „Powiedźcie do cholery, po wojskowemu: wiele kilometrów stąd do B“. „Nie powinno być więcej jak półtora klm., p. poruczniku“. (Te pół klm. to dodatek dla utrudnienia mi rachunku). Za polanką las, za lasem znów polanka. „Żukowski!“ — zaczynam zirytowanym głosem. „Stąd nie będzie już więcej, jak 900 metrów“ (czemu nie kilometr?). Było wprawdzie 1900 m., ale nie czas na admonicje i surowość: w boju kocha się żołnierzy, jak rodzone, choćby najnieznośniejsze, dzieci.

Spoglądam na mapę (w czasie jazdy, skali jej nigdy się nie wierzy), „B. na lewo, horyzont niżej od toru, wprost za nimi 3 klm. N. M., miasteczko silnie obsadzone“ — komunikuję do artylerji. „Dobrze jest, psia mać!“ — melduje posłusznie Lolo. „Przygotować się, karabiny maszynowe!“

Raszemu każe jechać cichutko. Nie wiem, jak nasz „stary“ to robi, ale umie skradać się, jak kot. Bez strzału cichutko mijamy B. i dojeżdżamy do mostu na M. Zmrok już zapadł. Księżyc za chmurami. Bolszewicy śpią we wsi. Posterunki z toru uciekły bez strzału, pozostawiając niedopalone ogniska.

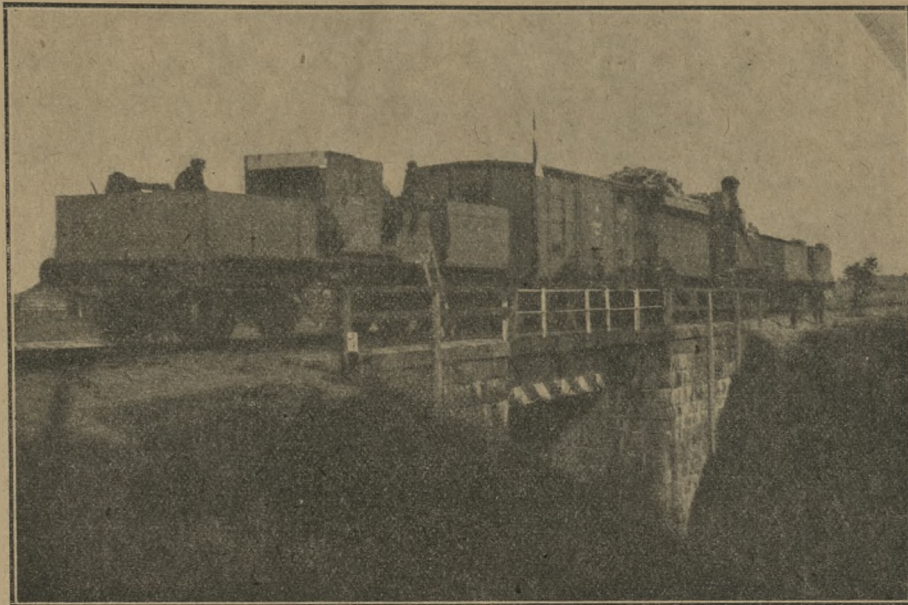
„Stać! Lolo, otwierasz wojnę. — Twój strzał. Po strzale por. Hüllego — wszystkie karabiny maszynowe wraz: biała i czerwona!”

Huknął Lolo — echo powtórzyło kilkakrotnie. „Maschिंगewery“ jak złe brytany ujadają w prawo i w lewo, cofamy się pomału w tył, aby „napieprzyć“ dobrze do wsi, wzdłuż chałup. Jakaś zbłąkana kula bolszewicka cmoknęła w pancerz. „Aha, są, takie sy-

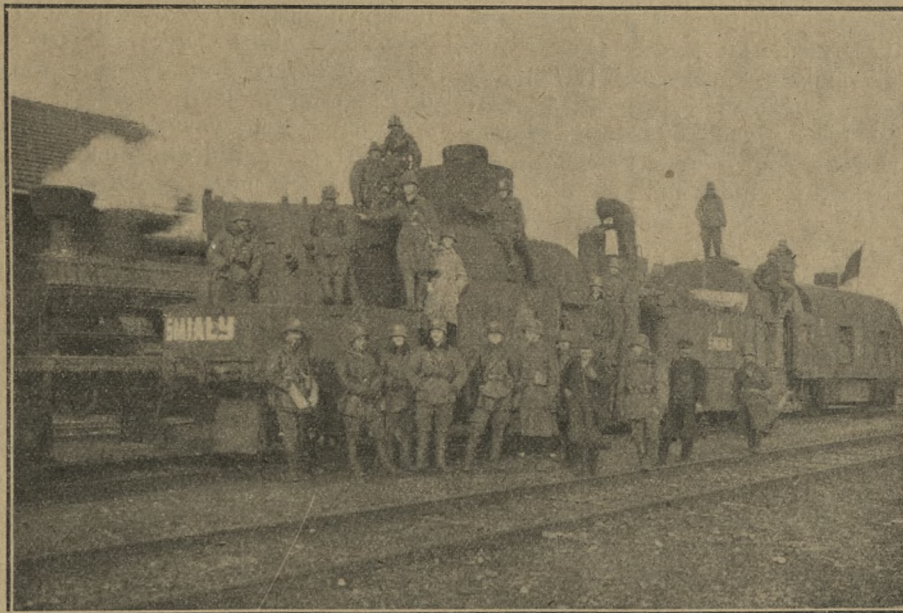
ny!“ — powiada flegmatycznie sierżant Sknurzył. „Niech im się źle śpi złodziejom po tych proszkach“ dopowiada sierżant Dębowski — „czy pan wie, panie poruczniku że nasi ułani złapali dzisiaj sześciu Polaków z bolszewickiego „Warszawskiego“ pułku huzarów?“

Widać strzały do nas z dział z Baranowicz, które nie donoszą i iskry parowozów, gdzieś „u nich“ na linji. Na prawo od nas świecą rakieta. Czas wracać — jesteśmy o 40 klm. od naszej bazy, Słonima. „Woda się kończy i węgiel też“ — mruży stary, cokolwiek speszony białoruskimi dżunglami.

Jutro o świcie znów naprzód, chyba już do samych Baranowicz. Tam się niestety kończy wążki tor (normalny).



roc. panc. „Śmiały szeroki“.



roc. panc. „Śmiały wązki“.

Dwa Życiorysy

„Życie dobrze użyte jest długie“

L. Da Vinci.

W lipcu 1919 r. polegli dwaj bracia Małagowscy.

Starszy przeżył lat dwadzieścia siedm, młodszy lat dwadzieścia sześć. Byli to dwaj rycerze polscy z ducha, z męstwa, z obyczaju, z niezwykłej dobroci serc, z instynktu.

Na usprawiedliwienie przed tymi, co swoich ukochanych, znając cenę ich młodego życia, w grób kładli przedwcześnie, a bez wspomnienia, powiemy: za tych wielu, co umierają cicho, których piękna krótkiego życia sam grób nie zdradzi — o życiu tych dwóch nich nam wolno będzie wspomnieć słów parę.

Bo wspomnienia takie to narodu każdego jest skarb prawdziwy, a niewyczerpany. Takie „żywoty chłopców“ to zadośćuczynienie za ich śmierć, to wynagrodzenie strat, jakie ponosi Ojczyzna, gdy giną najlepsi w wiosnach lat swoich, gdy trumny zatrzaśkują się nad pracowitemi dłońmi, nad gorącymi sercami, nad czołami twórców. Jak lepiej, jak-że inaczej powetujemy sobie śmierć Fleszarów, Herwinów, Lisów, Romerów i tych licznych co od 1914 roku padli? Pozostaje nam tylko skrzętnie wyłowić piękno ich życia i śmierci i przekazać tym młodym szeregom, na które czeka praca w narodzie.

Ś. p. K. M.....

Walczył tak krótko — w listopadzie r. 1918 wstąpił do wojska, w lipcu r. 1919 już zginął, szary żołnierz z licznych szeregów, prawy, obowiązkowy, odważny — jak zresztą wielu — a tak cichy; przetoż wskrzeszać postać Jego z za grobu i pośmiertne o nim pisać rozprawy?

Stworzył tak niewiele: kilkadziesiąt akwarelek, kilka portretów, projektów; pracował rzetelnie, mądrze, wytrwale — a tak cicho; czy dosyć to, aby starać się uwiecznić i przekazać żywym Jego pamięć?

Ale ty, coś Go znał, ty przyjacielu, kolego, lub warzyszu zabawy i walki, ale wy, blizcy Mu krwią lub duchem, wiecie dobrze dlaczego warto jest postarać się o rzecz tak bardzo trudną, o odtworzenie człowieka, o prawdę typu, dlaczego można chcieć gorąco cień Jego uczynić dawnym, żywym chłopcem i pokazać tym, co go znać nie mieli szczęścia.

Znaliście, Kolego, starszego Małagowskiego? — Ach, nie. — Jaka szkoda! — Poczekajcie, mam tu fotografię. Patrzcie, jaka piękna, grottgerowska głowa. Profil delikatny, uduchowiony. To jeszcze ocenić możecie z fotografii. Ale oczy — nie zobaczycie już nigdy tych oczu, ich słodyczy, mądrości. Nie mogę wam też opisać uśmiechu, zbyt był piękny. Ale to nic — mówię wam. Profil, oczy, uśmiech... Nie poznacie już tej duszy nieuchwytniej, bogatej, dalekiej wszystkim i blizkiej każdemu, nie poznacie natury wyjątkowej, bo coś mogą słowa, jeśli chodzi o najpiękniejszy twór Boga — o duszę ludzką,

Ś. p. Kazimierz Małagowski we wczesnej młodości odnałazł już swą drogę i swój fach; był on jednym z tych — Mickiewiczowskich dzieci, które siłę bezsilnej Ojczyzny wywodzić chciały z ducha jednostek. Jako specjalność wybrał sobie architekturę. Staże się prostem, że przy pierwszej sposobności przechodzi do szeregów, jako żołnierz. Wszystko, co czyni w życiu jest wewnętrznie głęboko umotywowane i nawskroś przeduchowione. Uczy się nietylko na politechnice, uczy go oczy własne, patrzące z miłością, uczy go otoczenie samo, patrzy, jeździ, przeżywa każdy kształt szary, każde złamanie dachu, wszystkie linie wieżyczek i sklepień. W martwej bryle widzi serce przeszłości.

O Grecjo, Ciebie że kochano

Widzę dziś w każdej marmuru kruszynie... — mówi Norwid; tak i Małagowski rozumie przyszłość swej atystycznej pracy dla kraju. Ocalić — nawiązać — duchowi przyszłości przekazać.

Iluż cichych na to trzeba było szeregowców, jak mądrych i cierpliwych. Wiemy o tem chyba najlepiej na świecie my, co walczyliśmy na każdym posterunku, o słowo i o myśl, o treść i formę, co musieliśmy ocalać każdą niemal główkę dziecięcą, bo ją od wstępnej klasy usiłował zdobyć wróg, o każdą chatę i wioskę, którą wróg ten chciał, a często umiał zjadać, o każde miasto, któremu cerkiewnemi wieżami chciano odmienić oblicze.

Do pierwszych szeregów tej cichej, tajnej, przeciwdziałającym śmiertelnym zakusom armji, wstępuje Kazimierz Małagowski już za chłopięcych lat.

Al'e oto na lata młodzięcze przypada inna walka. Można wdziac mundur polskiego żołnierza i prócz ducha oddać Ojczyźnie krew.

Małagowski wyruszył do wojska tak, jak się szło za dawnych czasów do powstania. W pierwszych dniach listopada jeszcze w czasie okupacji niemieckiej z dwoma kolegami przez znajome dwory, podążył do Krakowa. Tam wstąpił do formującego się drugiego pułku artylerji wałuwej na Rakowicach. Jakże jednak ciężżyły mu te koszary! Przy pierwszej zaraz okazji, gdy zażądano ludzi do formującego się w Krakowie pociągu pancernego „Hallerczyk“ zgłosił się na ochotnika. Na froncie, nocą, w czasie bitwy, „Hallerczyk“ spotyka się ze „Śmiałym“ będącym już wtedy pod komendę St. Małagowskiego. Odtąd już bracia walczyli razem, poprzednio bezwiednie należąc po obu stronach kordonu jeden do P. O. W. drugi do „Związku Broni“. Walczą, aż do chwili, kiedy do ciężko ранego Kazimierza przyjedzie z pobliskiej pozycji Stanisław, aby, w kilku dni, potem dębową trumnę zawieść Ojcu do Warszawy, a w kilkanaście — spocząć na wiek obok najdroższego i najbliższego sobie człowieka na ziemi.

Wydaje mi się że najistotniejszą cechą natury Kazimierza była nadzwyczajna siła i skala odczuwania. Przedziwnie umiał porozumiewać się z ludźmi. Z artystami, robotnikami, żołnierzami, chłopami, dziećmi. Smutny i zawiedziony dziwił się, że tak głęboko człowiek może odczuć człowieka. Szczęśliwy i bujny cieszył się, że jest ktoś, co tak rozumie życie i szczęście — Artysta młody i niewyrobiony, któremu się zdaje, że codzien odkrywa, tworzy światy był zachwycony że ktoś tak rozumie jego wysiłki i zdobycze. Doświadczony zdumiewał się jego młodzięczej mądrości. Nikt obok tego człowieka nie czuł się głęboko samotny. Rozumiał błędy i upadki, jasnowidzenia i chwile potęgi. Nie, nie do wiary. Najtajniejsze wyznania z dziejów duszy przerywał jego mądry, słodki uśmiech: ach, jak ja to czuję!

A może myślicie że mając ten dar rozumienia i współczucia z ludźmi, czuł się wyższym nad innych? Zwiększało to jego miłość i ból życia — pychy nie wzniecało nigdy.

A może myślicie, że przy swej wrażliwości i skomplikowanej inteligencji nie był śmiertelnym wrogiem wszelkiego efektu i frazesu? W stosunku przecież do swej treści, efekt i frazes są kłamstwem a Małagowski był żywą antytezą kłamstwa pod wszelką postacią. Czyż nie przebołał kłamstwa w sztuce, kłamstwa w patriotyzmie? Czyż nie zwalczał kłamstwa życia towarzyskiego? W każdym czynie i słowie był promieniem przedzierającym się przez mrok obłudy i pozorów wartości.

Ta nadzwyczajna rzetelność, taka, którą chyba sam Bóg sprawdza, bo w najtajniejszych poruszeniach duszy znajduje swój wyraz, była drugą wybitną cechą natury Kazimierza — a trzecią była dobroć — dobroć szorstka, ukrywana, delikatna i skromna ale jakże głęboka, jak grzejąca tych, którzy się w jej promieniu znaleźli!

I wszystkie te cnoty: wrażliwość, subtelność, dobroć, miękość, nie przeszkodziły, że żołnierzem stał się zawziętym, twardym, do szaleństwa odważnym, a trudu

biorącym na siebie więcej, niż jeden człowiek mógł podźwignąć. O żołnierzu i artyście, oto co mówią najbliżsi z pola bitwy i pracy.

Więc najpierw o żołnierzu:

„Gdy się mówi o krótkim okresie życia wojennego Kazimierza Małagowskiego, nie trzeba szumnych słów ani patosu. Nie trzeba też nic zmieniać, jani nic upiększać, tak wszystko było piękne w swoje prawdziwości. Nie miał on jako „żołnierz“ żadnych cech typowych: nie był „legunem“, wyszukującym różnych ścieżek dla zapewnienia sobie zawsze najkorzystniejszego miejsca; nie był wolonterem, reklamującym się pobudkami ideologicznymi w teorii, a w praktyce wykorzystującym swoje prawa inteligencji. Ofiara Jego była istotną, całkowitą. Każdy Jego postępek cechowało całkowite zrozumienie i odczucie sprawy i gorąca chęć przyczynienia się do harmonijnego powiązania realnych środków z celami idealnymi.

Artysta, w całym tego słowa znaczeniu, natrafiał w początku swojej kariery żołnierskiej na „wielkie“ trudności... w myciu menażki i czyszczeniu butów, ale wszystkie te trudności (wierzcie mi, dla Niego największe!) pokonał swą wolą i stał się prawdziwym wzorem sumiennosci i punktualności żołnierskiej. Ze wzruszeniem patrzyło się na Jego nowe cnoty powołane do współżycia z cnotami najwyższej miary, którei zawsze urok roztaczał. Niepospolite męstwo i chęć do boju, stanowczość, nawet upór w sprawach zasadniczych — przedziwnie godziło się w tym człowieku ze słodyczą, jaką miał w stosunku do ludzi.

Z wiru spraw żołnierskich, codziennych, poziomych, tak innych odmarzeń o „wojsku“, zaciemniających nieraz i zagłuszających pierwsze czyste uczucia człowieka walczącego o Ideał — umiał zawsze wrócić do źródła po siłę, po ową czystość intencji, po gorącość serca, potrzebną do każdego najcichszego i najskromniejszego czynu“.

A oto garść wspomnień z czasów warszawskich podana przez jednego z kolegów po fachu:

Kazimierz Małagowski, artysta-architekt z zawodu, ongi słuchacz politechniki medjolańskiej (potem lwowskiej), wstępuje na kursa architektoniczne w Warszawie, utworzone samorzutnie przez studentów architektów różnych uczelni zagranicznych. Wybija się tam odrazu na jedno z pierwszych miejsc pośród najdolniejszych młodych adeptów architektury. — Pierwszy to raz, pisze jeden z kolegów ś. p. K. Małagowskiego, słuchaliśmy z katedry o architekturze polskiej i duch polskości w sztuce stał się przewodnią ideą tej młodej, bardzo niedoskonałej, ale sympatycznej uczelni. Staraliśmy się wszyscy dać wyraz tej idei w naszych projektach. Dla Małagowskiego była to idea nie nowa bo w nim samym głęboko tkwiąca; wszystkie jego prace i koncepcje architektoniczne miały ten nieuchwytny a głęboki wyraz polskości, który tak wymownie do nas przemawia z naszych starych dworów, kościołów wiejskich i kapliczek. Zrozumienie polskości i siła twórcza sprawiły, że ś. p. Małagowski wziął konkurs na krzyże i kapliczki przydrożne. Te drobne budowle posiadają u nas ciekawą tradycję artystyczną i są bogatym materiałem form swoich. Dla takiej wrażliwej natury, jak Kazimierz Małagowski były one nieprzebranem źródłem podniety twórczej. Może i ta

okoliczność, że trwająca wojna wytwarzała potrzebę postawienia wielu krzyżów na naszej ziemi, pozwoliła wrażliwej organizacji artystycznej ś. p. Małagowskiego konkursować skutecznie z wielu wybitnymi i wyrobionymi artystami. Otrzymał on za swe prace kilka z przyznanych nagród. Pracował potem przy inwentaryzacji pałacu w Łazienkach, niezmiernie sumiennie, najwytrwalej z nas wszystkich“ znowu nie tylko dla tego, że był obowiązkowy i sumienny, ale także dlatego, że kochał. — „Jego prace malarskie obok niezaprzeczonego zalet technicznych posiadały nawet w swojej nieskończonej formie dziwny urok i nastrój, jaki dają zwykle dzieła dużego talentu. Niewielkie akwarelki o silnie stonowanych barwach i delikatnym rysunku mówią nam wyraźnie, że autor duszę kładł w swe prace. A wielką musiała być siła duchowa Małagowskiego, że umiał on swą pochłaniającą indywidualną pracę artystyczną tak niezwykle harmonijnie pogodzić z obowiązkiem i myślą o innych. W politechnice warszawskiej był duszą wydziału, jego zalety koleżeńskie przerastały zwykłą miarę. Był on jednym z tych nielicznych, co tworzą życie, spoiwość i nastrój nieuchwytny, niezapomniany. „Musimy stworzyć swoje własne, polskie tradycje życia studenckiego“ — mówił ś. p. Małagowski. I stanęła „Gromada“ ze stopniami „Smyków“, „Senjorów“ i „Mistrzów“. Małagowski był „Mistrzem Dobrej Rady“. Na kilka dni przed zamknięciem politechniki został wybrany na prezesa związku studentów architektury.

Ale nie tylko między kolegami, braćmi po fachu, był taki czynny, tak dążący ciągle do dobrego. Gdybyż można za nim iść i wysłuchać jeszcze raz wszystkie jego rozmowy z włościanami, jakie, miał w swoich licznych wędrowkach po zalanym wojną kraju, rejestrując straty i szukając po spalonych wioskach tego, co ocalało z rodzinnego w budowach bogactwa. Stosunek jego do ludu, nic nie sentymentalny, miał w sobie to ziarno nowe, ziarno zdrowia dla chorego od dawna na rozłam stanów narodu. Bez złudzeń ale i bez goryczy, a ze zrozumieniem i braterstwem uczył, pokazywał, współżył.

I tak walczył wszędzie — walczył ciągle, ten żołnierz o polskość, o rzetelność w duchu. W okresie, kiedy pracował w szkole artystycznej nieraz idąc Powiśle wstępował do klubu chłopców z ulicy i tam spędzał z nimi długie godziny. Znosił im rysunki chat i sprzętów, fotografie starych kościołów, uczył odróżniać blichtr i tandetę od wytworu cierplivej i uduchowionej ręki. Uczył ich patrzeć, rysować, komponować. Z jakim zajęciem oglądali i porównywali rysunki, jak chętnie słuchali opowieści, jak boleli nad zniszczeniem! Jeszcze w parę lat potem jeden z nich utrzymywał przyjazne stosunki z „panem Kazimierzem“ i przysyłał mu ze wsi kwiaty.

Ostatnie tygodnie swego życia poświęcił budowaniu pociągu pancernego „Śmiały—szeroki“. Praca ta ciężka i zmusna dawała mu niezwykle zadowolenie. Niewyczerpana siłą twórczą, zapał i umiłowanie włożył w pancernego potwora, który rósł szybko w warsztatach wileńskich i gotował się do nowych bojów. Dziwnie spieszył Małagowski z wykończeniem pancerni, zda się nie mógł doczekać się tej chwili, gdy wypchnie go na wroga w pole. I gdy śmiertelnie znudzony wra-

cał z roboty, Wilno czarem swym poilo oczy zmęczone. Z każdego zakątka, z każdej krzywej uliczki szło tchnienie dawnych czasów. I zmęczony żołnierz przemieniał się w artystę—chwycił ołówki i z miłością przeniósł na papier fragmenty wileńskiej architektury.

Podczas krótkiego pobytu przywiązał się do Wilna serdecznie. Tam przywieziono go z toru pod Zalesiem śmiertelnie rannego. Między nadzieją i rozpaczą przez tydzień wahały się uczucia obecnych przy nim przyjaciół. Cierpliwym na mękę, jakie mu sprawiała ciężka rana uśmiechał się tylko do brata i na jego pytanie, czy zgodzi się poddać bolesnemu opatrunkowi, odpowiadał: „tak Cię lubię że dla Ciebie zgodzę się“. Gdy sanitariuszka czytała mu opis raszyńskiej bitwy z Popiołów - „I ja jak oni, za Polskę“ - wyszeptał w pewnej chwili do siebie. Umarł cicho. Nie mógł już mówić, odchyłał tylko powieki i za każdym razem spojrenie jego stawało się piękniejsze i słodsze, tak piękne, że wydawało się. iż wszystkie skarby duszy skupiły się w tych krótkich momentach, gdy patrzył na otaczających „On cały był w tych oczach“—opowiadali obecni.

„Idźcie naprzód“ — zrobiłem Wam już przecież miejsce, mówił w malgine. I prawda. Wyczuwał przed innymi i zawsze pokazywał, głosił co jest potrzebne, co woła o pracę. Gdybyż więcej takich, możnaby kiedyś o Polsce powiedzieć słowami Norwida: „Ciebie że kochano, widzę dziś w każdej marmuru kruszynie“. „Bo kto kocha, widzieć chce choć cień postaci“. I tego „cienia“ polskości w formie szukał niestrudzenie i wskrzeszał wszędzie, a polskość w duchu wiodła go zawsze, aż złożyła w grób przedwcześnie.

Niech nie zaginie Jego pamięć i niech się krzewi długo wysiłek krótkiego życia artysty-żołnierza.

Szeregom, co zostały do porzuconej przezeń pracy przekazujemy wspomnienie tego „dobrze użytego“ życia. Bo przecież gdy tacy giną jedno słowo, zda się, wysiłek ich rzuca za siebie poprzez śmierć:

Szlusuj!

.....

Mówić o życiu i śmierci Stanisława Małagowskiego—nie znaczy pośród lat jednostajnych szukać moźnolnie szeregu zdarzeń ciekawszych, któreby w efektownym zestawieniu usprawiedliwiły sam fakt ich wskrzeszenia i dały tytuł do pośmiertnej sławy.

Nie. Mówić o życiu i śmierci Stanisława Małagowskiego, to borykać się z nawałem faktów historycznej miary, to przedzierać się przez bujne piękno tych krótkich lat, których dzień każdy osobno waży. — To wreszcie, przepych jego życia przecinać wygodną ścieżką dla przygodnego widza i nizać nieprzebrane skarby ognia i kryształu na mizerną nić szarych liter, zgadzając się unieść z nich tyle tylko, ile nić wytrzyma.

Więc mówić trudno.

Spójrz w oczy niedawnym—tak bardzo niedawnym portretem, przypomnij postać, rozwiń młodzieńcze listy, pogładź dłonią skupioną karty pamiętników.

Wstaje. To sama polskość, w pełnym, doskonałym wcieleniu. Z jej czarem i męką, błędem i zasługą, krzywdą i błogosławieństwem.

Oto jest nasza, wyłącznie nasza, (bo któżby się o nią pokusił i któż wytrzymał) bezdomność, włóczęga i tęsknota. Oto zuchwałe junactwo, co tak buj-

nym kwiatem tylko z polskiej gleby wytryska. I upór walki wbrew wszystkim i naprzekór światu, codziennie zazwyczaj nanowo. I wreszcie tryumf zwycięstwa.

A potem — potem już tylko serdeczny chłopak. Sam czar rozkwitłej ziemi, zapach wiosennej słodyczy, wspomnienie i zapomnienie niosący urok młodości... Młodość jego! Jakież słowo przedziwne znaleźć dla niej..

Była jak przebogaty splot wiosny, jak zawieja spienionej zieleni w głębi nieprzejrzanych królewskich borów, gdzie na każdym na rozstaju dróg dzikich czeka tajemnica. Była jak serdeczna, siwa okolica wiosna, pełna rzewności dzwonów kościelnych i rosy poranka. Była też, jak podziemie kopalni, pełne wysiłków tysięcy, gdzie biją pulsa maszyn i młoty serc.

Od pogodnego szczęścia kolorowej łąki, co w słońcu leży piękna, sobie szumiąc, nie komu — aż do gościńców szarpanych, gdzie krwią i potem perli się praca człowiecza — wszystko poznała młodość ta, przeczysta zawsze i prawdziwie górna.

Aż przyszedł wiek męski. Zagrały po świecie dawne, lecz wiecznie nowe zawołania rycerskie i miliony słońc srebrnych zabłysły w ostrzach broni — Wojna!

Odtąd los jego był losem polskiego żołnierza. — Tego co, przez obcy mundur i własną krew parł ku ojczyźnie. Twarda dola bojowa brnęła długo wygnaną drogą, by dojść nareszcie do otwartej bieli zimowych pól, zrytych niezłomnymi łańcuchami strzeleckich rowów. By dotrzeć do prawa ich bronięcia, do prawa ich posiadania-

I cóż? — Po latach, jakiegoś letniego popołudnia, w pachnącej bieli kwiecistego łąnu, leży serce człowieka, z którego uchodzi krew. — Koniec.

Nie koniec!

Przecie wśród szabel wart honorowych, pośród pełgania świateł smukłych, włada martwy profil rycerski, uśmiechnięty spokojnie.

„Skończyłem. Mam prawo odmeldować się z wiernej służby. Słodką jest nagroda i odpocznienie“.

Nie koniec.

Non omnis moriar.

Snać w mniejszej już dzisiaj ojczyzna potrzebie, los jej pośród narodów wywalczony i ugruntowany, przyszłość, choć trudna, ale jak okolica szeroka pod burzami i słońcem w oddal rozestana — śnać walki najcięższe już poza nami, skoro odszedł od roboty komendant Małagowski.

Każda epoka, oprócz milionów ludzi co w niej żyją, wydaje typy, które jej służą i ją tworzą. Potrzeba czasu wysysa krew ich i młodość, na ofiarę przeznaczoną. A że chętnie dają — więc szybko spełnia się ofiara.

Małagowski był typem twórcy niepodległości. Nietylko bojownika, ale i budowniczego.

„Polska to jest wielka rzecz“ — pisał kiedyś — „ale wielkich rzeczy nie nazywa żołnierz po imieniu“. To też wszystko od lat najwcześniejszych dzieło się w życiu jego poprostu, jako zwykle, bierzące zająca ucznia, studenta, żołnierza.

A było miłością samą. Nie otaczały go bowiem mury, domy, ulice, otaczały go żywe części Polski, z których każda dopominała się natrętnie o wkładkę

jego pracy. Nie mógł być gościem w rodzinnym mieście — musiał być współbudującym robotnikiem. Nie było dlań w kraju spraw dalekich i obcych; były tylko pola twórczości.

Nie miał znajomych, miał kolegów i towarzyszy broni.

W szkole ziemi Mazowieckiej, jako jedni z pierwszych maturzystów szkół polskich, żyją obaj Małagowscy w doborowym, iście filareckim gronie, związani potem ze sobą latami miłości i boju — aż do końca. Ale nie tylko „żyją sobie“. Promienieją wołają. Niema hulanki i próżniactwa; jest praca poważna, pierwsze koła sportowe pośród młodzieży szkół średnich, jest obywatelskie tworzenie życia w małym społeczeństwie „sztuzy“. Są wreszcie pierwsze próby wejścia w sprawy narodowe, odezwania się własnym słowem nowej młodzieży, tej, która „wierzy że jutro, inne niżli wczora,

i że w naszego miecza rękojeści zamknięte krzepko — zwycięstwo się mieści“.

A tymczasem — wakacje. Na rowery, w ośmiu czy dziesięciu, i tysiąc kilometrów po kraju w przeciągu 6-ciu tygodni. Poco? „Przejechać się“, odpowiedziałby szczerze Staś Małagowski. A jednak nie. Napewno nie.

Poto, żeby spojrzeć w oczy najgłębszej miłości. Tak oto przecie, jak ten lubelski gościniec biały, biegną w duszy zamiary proste i jasne, ziemi własnej na służbę oddane. W kształt dumy i rzewności, jak domostwo rodzimego budowania, wzniesione jest młode serce. Jak sandomierska ziemia, jest moc jego i przepych marzeń. Więc drzewom się pokłonić, zwierzęta przyhołubić! Więc siermięgi spotkane pozdrowieniem uczcić, zagony wzorzyste pogonić tęsknotą oczu. Na wzór ojczyzny, zbożem wezbranej — siebie zbudować. Poto przybył..

„Oto ty, dla której chcę walczyć — ty, dla której umrę“... Szemrały półświadomie myśli chłopaka, kiedy on sam kipiał niezmożoną wesołością, huczał olśniewającą werwą, skrzył się dowcipem, upajał wianem młodości i wiosny.

W r. 1911 skończył szkołę. W dwa lata potem, jako student górnictwa, przywiózł zdobyty, wykupiony, wyproszony, lecz piękny zbiór minerałów dla użytku szkoły. Całe wakacje porał się z kamieniami. „Żeby chłopcy na jesień mieli gotowe“. Tak, bo szkoła nie jest obcym domem, do którego się kiedyś chodziło, a potem chodzić przestało; jest tą częścią ojczyzny, która nas zbudowała, i którą my budujemy wzajemnie.

Instynkt obywatela, współtwórcy państwa, cechuje każdy postępek 19-toletniego chłopaka.

Wielu z nas przechodziło w okresie walki o prawa polskiej szkoły, ów nieznośny, zmarnowany rok „rosyjskiej matury“. Zdawali ją i chłopcy Małagowscy, gdzieś w głębi Rosji. Biedzili się, mordowali, ścinali i zdawali na nowo. Skończyli z tem nareszcie. Na drugi dzień pisze Stasiak list do kolegów — dla jaknajszerszego rozpowszechnienia: „Można tu zdać bez łapówek, bez kłaniania się i jakichkolwiek protekcji“... Pisze, bo przecie ci obcy, co kiedyś tak jak on biedzić się będą w moskiewskich łapach — to swoi, bliscy i najbliżsi, którym winien jest zawsze

i wszędzie, organiczną niejako, koleżeńską wierność.

Świadomość społeczna dyktowała mu, w kraju, owo tak rzadkie, a tak narodowo przydatne spojrzenie na samego siebie, jako na część szeregu. Instykt państwowy kazał mu mimowoli stwarzać naokoło siebie na obczyźnie ośrodek kulturalny, przyciągający swoich i obcych.

1912 r. Przybram w Czechach, akademja górnicza, burszowski, niefrasobliwy nastrój. Do wypitki i do wybitki. Jakże to daleko od filarecko-junackiej paczki kolegów szkolnych! Małagowski tego nie ścierpi. Po roku zgryzot, zniechęceń, lecz ciągłej zażartej walki — skupi wokoło siebie najlepsze żywioły i razem stworzą własne kulturalne gromadzkie życie, czytelną, sporty, rozrywki. Wokoło talentu społecznego Staśka, wokoło samej jego obecności, kształtuje się życie, rośnie, rozkrzewia, plecie w zrost doskonały. Tak właśnie buduje się społeczeństwo. Drobnymi posunięciami, nikłymi środkami, wiecznie żywą pamięcią o celu.

Kiedyś, na studenckiej uroczystości, tradycyjnego „skoku przez skórę“ przyjęty właśnie do korporacji górniczej, Małagowski, przemówił do starszych kolegów, przyrzekając im w imieniu „fuksów“ wierność ideałom górniczym, a naprawdę, im samym ideałom, te wskazując: „Iść nam wypadnie w kopalnię Zagłębia, w życie pośród żużli i brył węglowych, wśród mroku podziemi i piekła hutniczych pieców. Tam znaleźć sens i przyszłość, nowych budzić ludzi, nowe kadry zbierać. Krok nasz każdy będzie etapem walki, będzie czynem żołnierza jednej wielkiej armji, przez trud ciężki idącej ku przyszłości innej, niż dzień dzisiejszy. Bo nie wie nikt, jak prędko nastać może chwila, co zażąda całej naszej odwagi — i rozwagi“.

Tak. Nie wiedział nikt że „chwila osobliwa“, czekana, a groźna nasuwała się naprawdę — szybka i nieunikniona.

W społeczeństwie studenckim uczono się zimą, praktykowano przez lato.

W 1913-tym pisze Małagowski z praktyki górniczej z Uralu. „Sam tu jestem, ale dla niejednego „dom“ mój, (pokoik na górze, skąd jak wiadomo pochodzi młodość górna“) stał się jego własnym domem. Schodzą się tu wieczorami rozmaici „tubyłcy“. Są gazety, książki, wieści z Europy: „Cóż tam słyhać na dalekiem świecie, Stanisławie Kazimirowiczu“...?

A na dalekim świecie wzbierała już wojna.

Miał lat 21, kiedy nagła wieść wojenna, obiegła świat. Z serca tego żołnierza wydobyła odrazu ton pełny i czysty. Wszystkie niezrozumiałe tęsknoty, niedające się nazwać pragnienia, stały się proste i jasne. Owo ciągle, dręczące dotychczas, „czegoś mi brak“ odrazu przestało istnieć.

„Siły ludzkiej niema, coby mnie powstrzymała!“ pisze do domu. Nazajutrz górnik zwija manatki i przeistacza się w żołnierza. Bez grosza w kieszeni jedzie na głodno Kamą i Wołgą, aby na ochotnika zaciągnąć się do saperów armji rosyjskiej. W Moskwie, gdy z przyjęciem do wojska zwlekano, zarobkuje jako motorniczki tramwajowy, ale już nie zagląda nawet do Warszawy. Pcha się, łokciami się pcha ku tym polom bojowym, na których (zdawało się wtedy), krótki, po-

teżny rapsod wojenny się rozegra. Listy jego z drogi tętnią, musują, skrzą się i szaleją.

Nieomylny instykt polskości, wspaniała rasa rycerska wskazuje mu odrazu drogę niechybnie prostą. Młodość, chwilę każdą bawi radością, krok czyni rzeźkim, słowo figlarnem.

„Orientacja, powiadacie,? — Zawsze dla mnie od urodzenia jedna: bić złodziejów Europy, bandytów świata i, że tak powiem, typowych psi synów. Secundo: nie ufać nikomu, prócz sobie samym. Tertio: Idjocie tylko perswadować można, aby z godnością neutralnie czekał na swoją kolej, kiedy w jego oczach braci i siostry pierze kułak policjanta. Dla mnie jest już dzisiaj wszystko całkiem jasne: fizjonomję historii maluje się własną krwią i potem (od słowa „pot“, bo, na Boga, nie potym, ale teraz lub nigdy!)

Wierzę że wypadki będą nie tylko bardzo ważne, ale i bardzo pomyślne. A dla nas: nie tylko Niemcy są wrogami, ale wszyscy podleczy. Teraz rzecz oczywista, że gdziekolwiek będę, nikomu duszy nie zaprzędam, niedam się związać bardziej, niż sam zechcę. Bo w istocie, wszyscy wstępujemy do tej armji, której niema.

Ale, ale, byłbym zapomniał! Projektuję żeby który z naszej paczki został prezydentem Zjednoczonych Stanów Wschodniej Europy. Liczę, że stać się to może, nim się poženimy.

Tymczasem zaś: jestem krzepki, tęgi, zdolny i rad ze siebie; zdrowie i humor — końskie. Przysyłajcie więc bieliznę, co najmocniejszą i nie wspominajcie krzywo!“

Nareszcie zaliczono go do saperów. Osadzono w kazarmach Smoleńskich. Trzy miesiące nie ruszał bataljon na front, trzy miesiące twardej szkoły sołdackiej przyszły jako pierwsza wojny nauka.

A potem już ta nauka szła nieprzerwanie po wszystkich frontach.

Wolontarjusz Małagowski kierował reflektorami 9-go bataljonu saperów pod Dynaburgiem. Jego to reflektory wyjeżdżały w czas najciemniejszych nocy, by jaskrawym błyskiem wyrwać z ciemni huczącej kontury tysięcznych mas, sunących do ataku: „Robota od 6-tej wieczór do 6-tej rano — donosi do domu. — Noce mgliste, strzelanina apatyczna. Śmierci corawda ani trochę się nie lękam i błogosławię stan górniczy, zem się na dole w istocie od tego głupiego przesądu odzwyczaiał. A do niewoli wziąć się nie dam. Więc też dnie spędzam śpiąc na koniu i lekkomyślnie niebacząc na wszelkie „memento“. Żyję równie bez troski, jak i bez sensu“.

Tak, sokole. Bez troski ale i bez sensu. Skończyła się radość pierwszych dni niewiedzy, W pełnym ogniu męki polskiej dojrzywać poczniesz. Dusi mundur obcy, pali obca piosenka, gnębi rozkaz obcy, co do krwi twojej własne prawo rości.

Niema bo tej armji, do której wstąpiłeś...

Nazewnątrz jednak wiodło się wszystko dobrze i już wtedy bodaj budować się począł mit o nietykalności młodego żołnierza.

Po półtorarocznej służbie linjowej, dopiero w marcu 1916 r. idzie do wyższej szkoły wojskowo-inżynieryjnej w Kijowie, przetrzymawszy zaiste wyjątkowo trudne warunki jej konkursu. Znalazłszy się w gronie niemal bez wyjątku ludzi z wyższem wykształ-

cenem, kończy szkołę jako ósmy z rzędu na z górą stu kończących równocześnie „Budzi się we mnie oficerska żyłka (pisze wtedy) i teraz już coś więcej niż koniec własnego nosa z za tej roboty widzę. Ej, jeszcze się przyda!”

Po skończeniu szkoły wraca odrazu na linię — w góry Beskidu wschodniego. Tam go zastaje rewolucja rosyjska. Kiedy jeszcze pierwsze jej, niepewne wieści przyszły na linię bojową, a cały skład oficerski przycichł i zmieszał się, podporucznik Małagowski przed frontem swej kompanii wznosi okrzyk na cześć przewrotu i dalszej walki do zwycięskiego końca.

Ala już po kilku tygodniach przekonał się że owa rewolucja jest nader podłego gatunku, toteż jak sam pisze: któregoś dnia kwietniowego nawymyślałem kaczkom w Karpatach, powiedziałem, że się w ich rewolucję nie bawię, bo jest kiepska i nie dla mnie i wyklęty zewsząd, bez żadnych dokumentów zjawilem się pod Husiatyn, do kompanii inżynierskiej, jedynej wówczas Polskiej dywizji strzelców. Przyjął mnie tu na słowo i tak oto rozpocząłem prawdziwą pracę wojskową.

W kilka dni potem wyruszyła kompanja na pozycję pod Berezynę. Warunki były fatalne, rozprężenie ogólne udzielało się młodzieńskim polskim oddziałom. One to jednak murem stanęły później na Zbruczu, osłaniając załamanie się nieudanej czerwcowej ofensywy Kiereńskiego. Co sił w nogach zmykały rosyjskie hordy. Nareszcie już rozkazy cofnęły szeregi polskiej dywizji, odeszła już nawet bratnia inżynierska kompanja. Przez wielki most na Zbruczu dzień cały pod granatami waliło wojsko. W ostatniej chwili most trzeba wysadzić. Już pusto. Kule gwizdzą. Przy moście wciąż czeka podporucznik Małagowski i podoficer Pająk. Ma bowiem wrócić jeszcze angielski samochód pancerny.

Samochód przejechał, most wyleciał w powietrze. Tak to polak z anglikiem osłaniali tyły cofającej się armji rewolucyjnej.

Dywizja polska wycofana została wkrótce na formowanie I polskiego korpusu. Nadszedł okres ciężkiej pracy przygotowawczej — a zarazem złe czasy zmagania z rozkładem rosyjskim.

W październiku wchodzi Małagowski w skład delegacji oficerów i żołnierzy I-go korpusu, której polecono objechać front południowo-wschodni dla wydzielenia zeń polaków. Małagowski pracuje z całego serca. Użera się z moskalami, którzy nie chcą oddawać ze swych pułków najlepszych ludzi, przekonywa opornych polaków. Tu już po raz ostatni — więc z humorem — obserwuje sławetny bizantyjski ład czerwonej armji. „Jakże oni nam zazdroszczą, pisze w notatniku, że formujemy wojsko, w którym nie będzie komitetów“.

Nad Styrem i Stochodem znajduje ślady walk i postojów I-ej brygady Piłsudskiego. Kilka dni spędza na odszukiwaniu pamiątek, robieniu zdjęć z „Legionowa“, słuchaniu opowieści świadków. „Tak, oni szczęśliwi, mają Wodza! (pisze potem). Niechby uwierzyć zechcieli, Ci najdzielniejsi z dzielnych, że nam ta sama idea przyświeca — i niech Bóg ochrania nas od niechęści walki z nimi“.

Po skończeniu roboty delegacja wraca do Mohylewskiej.

Nareszcie zwolna staje 1-szy korpus. Małagowski do lutego 1918 r. kwaterował w Starym Bychowie nad Dnieprem, gdzie stał się duszą 1-szej dywizji 1-go korpusu. To też, gdy zawiązał się „Związek broni“ — organizacja tajna wojskowa mająca na celu wlanie w formujące się szeregi ducha patriotyzmu — podporucznik Małagowski zostaje komendantem organizacyjnym na 1-szą dywizję.

W lutym, wobec groźnej postawy bolszewików, począł korpus gotować się do wojny. Małagowskiemu polecono sformowanie oddziału konnych saperów w Krasnym Brzegu. „Wkrótce nadszedł wir wypadków — pisze później do brata — który wciągnął nas w odmet jedyny w swoim rodzaju. Sporo już wojny widziałem, ale tak paskudną, jedną chyba tylko można w życiu widzieć. Byliśmy garstką, broniliśmy naszej sprawy, jak straconej placówki. Pierścień bolszewicki zacieśniał się z dniem każdym, chłopstwo czyhało, aby się rzucić i „dokończyć“.

A żołnierz I-go korpusu, nie był to jeszcze ów świetny żołnierz, któremu w maju 1918 r. kazano kapitulować. Była to zbieranina wszelaka. Piechota niemal wcale nie chciała się bić.

Podporucznik Małagowski jako saper przyłącza się na ochotnika do akcji na Żłobin, którą prowadzi „kochany pułkownik“, obecnie generał, Żeligowski.

Żłobin wzięty z trzech stron przez nasze wojska, broni się zaciekle z czwartej, osłoniętej budynkami stacji towarowej. Z wieży wodociągowej szyje sześć kul-miotów. Siedemnastu ochotników, wśród nich ppor. Małagowski, robię wypad pod samą wieżę. Tam przeciw nim wysuwa się kompanja bolszewicka. Cofają się tedy aż na wał kolejowy i z za niego się ostrzelują. Atak bolszewicki nasuwa się. Nasz jedyny kulomiot, ustawiony na wale, milknie — kierujący nim porucznik Małowski, pada, trafiony w czoło. Oto już rosyjska atakująca czerń pod wałem. Na czele biegnie dowódca — ogromny drab w kosmatej czapce.

Podporucznik Małagowski kładzie go celnym strzałem na dystans 60-ciu kroków i rzuca się z wału na bagnety. Za nim jeden saper i dwóch podchorążych.

Moment dobrze chwycony. Staje atak. Chwieje się. Bolszewicy rzucają się do ucieczki.

Odtąd idzie dzień za dniem walk ciężkich pełen. Siły nasze topnieją, dezercja rośnie. Lepiej jest jeszcze, gdzie legja oficerska, albo kawalerja się potyka. Piechota nie strzymuje jednak. Takie też to i walki: Samotrzeć... Samoczwart..

W jednej to z nich ów Pająk, towarzysz wierny, gdy coś mu się nie złożyło z wysadzeniem toru, wpada pędem do budki drużnika, gołą ręką chwyta z pieca gorejącą głownię i niesie ją z powrotem. Ręka mu się żywcem pali, (miesiąc był potem w szpitalu), wachlarz kul z karabinów maszynowych wrogiego pociągu chodzi koło Pajaka, on przecie z flegmą przykłada ogień i wysadza tor, tuż niemal przed samą już lokomotywą, błyskawicznie rzucając się ku swoim.

„Tak dłużej być nie może“ decyduje podporucznik Małagowski, „wygniotą nas temi pociągami jak myszy“.

Na sposób — sposób. Bierze zwykłe platformy, mości na nich spiętrzone wał saperskich worów, pias-

kiem napchanych, stawia karabiny maszynowe, armaty, dobiera ludzi.

Tak zaczął swą karierę pancerną.

Pociąg nazywa się, jak opiewa szylc „Związek Broni“. Pożał sie Boże, co to była za pancerką! Gdy ją zaczynali ostrzeliwać bolszewicy, załoga wyskakiwała i ostrzeliwała się z rowów. A mimo to „Związek Broni“ walczył, grzmiał ze swojej trzycalówki i trzymał — zaiste on tylko — i ochotniczy szwadronik Goltz'a — cały front od Tieluszy po Krasny Brzeg. W pociągu skompletował podporucznik Małagowski 30 koni. Każdy z załogi na pancercie miał swoje funkcje, w polu zaś stawał się „konnym saperem“. Konie były wożone w wagonach towarowych wraz z pancerką, co umożliwiało w każdej chwili wywagowanie lotnego oddziału saperskiego, opatrzonego odpowiednio w materiały techniczne.

W drugiej połowie lutego szala wygranej przechyliła się na polską stronę. Bohatersko a podstępnie opanowaliśmy Mińsk i Bobrujsk. Tam zwolna koncentrowały się rozproszone oddziały, tam magazynował się pieniądz, broń i wszelkie dobro wojenne. A że równocześnie żelazna nawała niemiecka, przerwała szczy front pod Mołodecznem, ruszyła na Mińszczyznę, więc brać bolszewicka tem szybciej uchodzić poczęła, konno i piechotą nawet, jeśli pociągów brakło. Skończyliśmy z jednym wrogiem. Miejsce jego zajął drugi, groźniejszy. Korpus poszedł na układy. Innego wyjścia narazie nie było. Ale zaczęłam się trochę stosunki wzajemne wygładził, i do opanowania doszło — co pocziwsza dusza, to warknęła w żołnierzu.

„Pancerka“ stała właśnie w Bobrujsku. Niespodzianie stację zajęli Niemcy. Noc ciemna. Podoficer Kępa wraca z urlopu. Niemiecki wartownik pyta „werda?“. Kępa się wzburzył, Niemca w łapach zgniótł, karabin mu potrząsał o peron. Budzą podporucznika, meldują że Niemiec zemdłał i krwią broczy, że go do szpitala powieźli. Tak się dopiero dowódca o przyjsciu Niemców dowiedział. Narzucił płaszcz na bieliznę, wybiegł na mróz z harapem w rękę. A tu aż rojno od Niemców. On do pierwszego: „Czemu honorów nie oddajesz, psi synu?“ i harapem przez łeb. I tak dalej, dalej, obił z dziesięciu. Warczeli, ale się usuwali, bo szło za komendantem dwu żołnierzy z bagnetami, a wiara na pancercie już się uszykowała.

Mijały tygodnie. Nie było co robić w Bobrujsku. Walki ustały. Bolszewików nie było, Niemców ruszać nie było wolno. Projekt utworzenia legionu dla wycofania się na wschód — upadł. Organizacja Związku Broni zdecydowała trzymać ludzi swych w miejscu i gotować do walki z Niemcami, która prędzej czy później musiała nadejść.

Małagowski rwał się i męczył. Czuł dziwny „świerzb“, wprost fizyczny, gdy patrzył na panoszący się niemiecki mundur. Właśnie w tym czasie przyszła wieść, że Haller front przekroczył pod Rarańczę.

Chciał tedy pociąg wysadzić w powietrze i do Hallera ruszać. Trzeba było wstrzymać go formalnym zakazem. Wraca tedy do rodzonej 1 szej dywizji, do Rohaczewa. Trzeba przejeżdżać przez punkt węzłowy Żłobin. Opowiadał potem nieraz polski komendant

stacji, jaką alterację wzbudziła przejeżdżająca pancerka pośród niemieckich oficerów.

„Es ist etwas fantastisches durchgefahren! Gance mobile Festung! So was hab ich nie gesehen! Was ist den das?“ Dopytywali się Niemcy. Żaden z nich bowiem nie podejrzewał, że „to co przejechało“, te platformy, na których piętrzyły się bezładne stosy worów saperskich, jest to groźny obrońca Tieluszy i Krasnego Brzegu, pogromca wojsk bolszewickich.

Przejechała to bowiem — polska fantazja bojowa.

Teraz znowu idą znojne dni pracy organizacyjnej, pośpiesznej, gorączkowej. Małagowskiemu zwolna odbierają Niemcy jego pociąg umiłowany. Zastrzeżoną bowiem mieli swobodną eksploatację toru, a pancerka zbyt przeszkadza na linii. Władze korpusu sprzeciwiać się nie chcą, lub nie umieją. Zostaie odebrana wprzód jedna lokomotywa, potem druga i ostatnia. Wtedy zabierają i cały pociąg.

Do tego czasu jednak uszykować zdążył już osierocony podporucznik swój oddziałek konnych saperów. Wszystko jednak co wychodzi poza rutynę, choćby było najpotrzebniejsze, jest niewygodne. Nie było dotychczas konnych saperów w korpusie, więc ci zostają najbrutalniej rozformowani i zaliczeni do 2-go pułku ułanów, gdzie Małagowski zostaje przyjęty jako oficer nadetatowy bez żołdu.

„Póki były walki, nie wiedzieli, gdzie umie sadzać“, uśmiechał się gorzko. „Pójdę do legji, czy co?“ Ale nie poszedł. Bo związał się z żołnierzami swemi więzami zażyłości bojowej, mocniejszej ponad wszystko. Jedyny bowiem i niemal niespotykany był stosunek tego oficera do podkomendnych. Małagowski, surowy niebywale dla siebie, dzień każdy pod pręgierz sumienia stawiający — pisze kiedyś do przyjaciela: „Przeżyłem teraz dobry okres. Czyste serce czuję w sobie i wiem już napewno, że nigdy nie opuszczą mnie trzy najlepsze na świecie rzeczy: Bóg, ziemia i prosty człowiek“.

To też nie istniał dlań problemat „demokratyczności“. Nie przychodziło mu wogóle na myśl, żeby miał być kimś lepszym od swych żołnierzy i żeby wobec tego zastanawiać się potrzebował nad swoim do nich stosunkiem. Nie wyznawał żadnych demokratycznych zasad, pogardzał popularnością. Szedł tylko poprostu za głosem instynktu braterstwa. Nie „starał się“ — był bratem naprawdę. Nic to, że posiadał wyższą kulturę, wykształcenie, życiowe aspiracje. Te wartości nie stanowiły dlań bynajmniej miary człowieka. Oceniał i wyróżniał ludzi dopiero zobaczywszy ich twarz w twarz z istotnie ważnemi prawdami. Z potem pracy.

Ze krwią ran. On i jego ludzie przeżyli wspólne walki, posiadli razem zaufanie Ojczyzny, gryźli te same troski, uctowali razem przy niejednym zwycięstwie. On brał za nich decyzję, oni ryzykowali jej spełnienie. Szerokie piersi ojczystych zagonów tuliły ich sen zmęczony, oddech dobrotliwy Boga kołł spazm trwogi, wzbierający pod huraganem ognia i pozwalał mu zamieniać się w okrzyk bohaterstwa. Razem. Zawsze razem. Wtedy dopiero dzielili się dla Małagowskiego towarzysze broni na „swoich ludzi“ i na „hołotę“. Wobec tej ostatniej był zaciekle, zakamieniałym arystokratą. Tak to butnie i po pańsku nosił się był zwykle w wojsku rosyjskiem, zarówno wobec kolegów,

jak także, i przede wszystkim, wobec zwierzchników. We własnej jednak armii dobrał sobie wyłącznie „swoich“ i wobec nich był już bez zastrzeżeń — bratem. Pomimo to, a może właśnie dlatego, dyscyplinę utrzymywał żelazną. Szeregowiec bobrujskiego oddziału konnych saperów w czasie kiedy formy organizacyjne były tam jeszcze nader płynne, zwracał się do dowódcy „druhu poruczniku“, rozkazy zaś — żelazne i, jakie nieraz trudne — słyszał w formie: „druhu żołnierzu“. Ale wpatrzony wiernie w stalowe oczy komendanta, nie znał ani jednego zbytecznego drgnienia powiek, ani jednej chwili wahania, ani jednego ospałego ruchu. Zato, pamiętam, w maju, w dzień imienin siostry porucznika, saperzy niezdarne a tkliwie szykowali powinszowania i rozmaite kwiatki, bo przecież święto w rodzinie komendanta było ich najmilszym świętem. Kiedy wypadł kilkudniowy odpoczynek oddziału w mieście, porucznik krzątał się i kłopotał, żeby wieczorami zapewnić swoim chłopcom kilkadziesiąt bezpłatnych miejsc w teatrach; skupywał im książki, prenumerował gazety. Toteż urobił ich sobie tak, że wszelkie porozumienia wzajemne odbywało się prosto, bez wyjaśnień, niemal magicznie.

Pamiętam, kiedy do korpusu wschodniego przyjechał pierwszy Piłsudczyk z kraju, przysłany z Ukrainy przez Lisa i Bartę, jak przywitali go saperzy Małagowskiego. Było to jeszcze wtedy, gdy mu nie odebrano pociągu. Przysłał po nas lokomotywę z wagonem pierwszej klasy. Na stacji w Bychowie czekał nas uszykowany oddział. Porucznik Korkozowicz - Karłowicz był, naturalnie, ubrany po cywilnemu. Mimo to, dwusereg sprężył się na komendę Małagowskiego i salutował cennego gościa. „Macie przed sobą oficera Komendanta Piłsudskiego. Niech żyje!“ Wzniósł okrzyk dowódca „pancerki“.

„Niech żyje!“ odegrzmieli towarzysze broni. Potem siedliśmy do przygotowanego powozu i pojechaliśmy na wspólną ucztę. Był to bowiem dzień 19-tego marca, Imieniny Komendanta... Tak z tętentem i szumem przez stary Bychów eskortowali wysłannika P. O. W. który przekradł się do korpusu.

A na uczcie, po bokach umajonego pustego fotela (dla Komendanta) zasiedli dwaj solenizanci realni: Józef Wilk, wachmistrz srogi i ponury i Józef Ocipka, ordynans dowódcy. Dalej goście i sam dowódca i reszta żołnierzy.

Starką i krupnikiem piliśmy zdrowie Komendanta, i Wilka, i Ocipki, i por. Korkozowicza, dowódcy i wszystkich kolejno, aż huczały ściany domostwa i rozpromieniły się serca żołnierskie wielką ochotą.

Wkoło byli Niemcy...

Aż gdy przyszła owa noc 21-go maja, porucznik Małagowski zładował wóz z pyroksyliną, który u bramy Słuckiej postawił, sformował oddział swych ludzi (mało ich miał, cały bowiem pluton wysłany już był do 2-go pułku ułanów), uzbroił ich w ręczne granaty (niemieckie, model 1918—jego chłopcy skradli ich niemcom trzy skrzynie) i miał uderzyć, łącznie z oddziałem Lisa na dworzec; tam zorganizować dwie „pancerki“, jedną pchnąć na Żłobin, drugą na Osipowicze, niemieckie załogi po stacyjkach wydusić i we wskazanych punktach powysadzać tor.

Wiemy, że plany te spełzły na niczem.

Pamiętam twarz porucznika tego szarego poranka. Jakiś bolesny skurcz ust, zmarszczka przez czoło i matowy, chłodny wyraz oczu. „Cóż stary, nie będziemy już Niemców bili?“ pyta swego maszynistę, starego żołnierza. „Nie będziemy, panie poruczniku“, mówi wiarus i lzy mu ciurkiem płyną po milczącej twarzy.

Ech, Boże!... zawiał się tedy do ostatniego. Do Warszawy, do ojczystej Warszawy wyjeżdżały eszelony wojsk tłumnie i gwarnie. Tęsknił do swoich ogromnie. Ale nie pojechał. Z żołnierzami się pożegnał, trzech jeno zatrzymał: Pawłowski — hallerczyk obecnie, komendant konnych wywiadowców, Szymanowski — poznańczyk, w drodze na Murman rozstrzelany, Dreczkowski — poznańczyk, zaginiony bez wieści.

Z tymi, na rozkaz komendy P. O. W. organizuje wyjazd na Murman. Najprzód w Bobrujsku, potem obejmuje punkt etapowy P. O. W. w Homlu. Tak zpośród morza hańby, i demoralizacji własnej, zpośród obcej przemocy, wybierał co godniejszych i znowu prostował ich ścieżki, w szeregi ojczyzny zaciągając.

Wreszcie przepływ wyjeżdżających się kończy. Małagowski zwija komendanturę, zabiera ze sobą Dreczkowskiego (Pawłowski i Szymanowski już przedtem partje poprowadzili) sprzedaje rzeczy, zalutowuje rewolwer w podwójne dno podróznego imbryka i jedzie do Kijowa, zdać sprawę z czynności i ruszać na Murman. Przez okazję wysłał do ojca i brata słów kilka: „Ze ściśniętym sercem powziąłem decyzję aby teraz do Warszawy nie jechać. Ale mam głębokie przekonanie że pracujemy naprawdę u podstaw i robimy rzecz dużą. Wiem też, że po przeżytej bobrujskiej hańbie, tylko przy takiej pracy odnajdę całego siebie. Zresztą, czemże lepiej mogę pomódz wam tam w Warszawie, jak przykładając ręki do gruntownej poprawy warunków życia“...

Ale wtedy właśnie sytuacja się zmieniła. Gen. Haller już był z Murmanu wyjechał, czujność bolszewicka się wzmogła, stało się jasnym iż akcja murmańska na większą skalę się nie uda. Od gen. Śmigłego przychodzi rozkaz, żeby robić robotę na miejscu, Lis — komendant P. O. W. na Ukrainie — powierza Małagowskiemu lotny oddział bojowy.

Pamiętam go w te upalne, lipcowe kijowskie dni... Wokoło było państwo hetmańszczyzny i tryumfującego krzyżactwa. Apogeum sławy i chwały niemieckiej.

Organizacja nie miała pieniędzy. Była nas garstka mała. S. p. Kuba Basiński, rozstrzelany redaktor „Białego Orła“, coraz smętniej patrzył na swój prawy but, but tradycyjny, który rozłaził mu się coraz oczywiście. Brakło na przeżywanie, nie tylko na takie „doczesności“ (jak mówił, błado uśmiechając się, Kuba).

Małagowski miał pięciu ludzi w swoim oddziale lotnym i prowadził wojnę jak umiał. Ludzie byli zdeterminowani, praca beznadziejna. Codziennie rano, wyjeżdżali tramwajem pełnym Niemców za miasto, aby w pobliskim lasu uczyć się wszelkiej mądrości saperskiej. Każdy miał ze sobą ręczny granat w głębokiej kieszeni, ćwiczone się bowiem w ich rzucaniu. Lekcje nie pozostały bez rezultatu. Przez lipiec i sierpień nieomylna a złośliwa siła popsuła Niemcom ni mniej, ni więcej, jak osiemnaście mostów. Pamiętam kiedyś rano, przyszedł Małagowski do znajomej cukierenki na śniadanie, szary, zmięty i niewyspany. Odrazu rzucił się

chciwie do gazet i przeglądał jedną za drugą. „Czego tak szukasz, Stasiu?” spytałem. „Ano wzmianki o sobie“, odpowiedział całkiem serjo. „Napracował się człek całnoc, nałaził po rowach, ślicznie mostek spsocił, huku narobił i kłopotu, a szwaby nawet wzmianki w gazetach nie przepuszczą, żeby się Kijów zanadto nie ucieszył“...

Kiedy wysadzali swój pierwszy most, „wache“ począł pytać „werda“? „Kirgizowi“, co miał podpalać, gasły zapaliki na wietrze. Więc wartownik ku niemu szedł, a ten siedział, kłął i wciąż tarł zapaliki. Aż wreszcie zatlił sznur Bikforda i znikł z pod samego Niemca. Most poleciał..

Odtąd już szło jakoś. Raz lepiej, raz gorzej. Straszny był jednak podkład psychiczny tej walki. Beznadziejność i poczucie bezsilności. Zerwane mosty naprawiano w 24 godziny, pociągu nigdy nie można było wysadzać, bo któż mógł zaręczyć czy nie będzie to właśnie pociąg osobowy; kunsztownie obmyślany zamach na składy niemieckie zawiódł, z dużym bowiem nakładem starań sprowadzony od eserów z Moskwy aparat do podpalania spalił się pięknie, nie podpaliwszy składów.

Małagowskiemu ciążyła ta niby wojna. Tęsknił do pola i do boju. Ale tęsknił też do chwili odpoczynku u swoich, do paru dni przeżytych dla siebie, do rodziny tyle lat niewidzianej. Złożyło się właśnie, że w końcu października Lis zamierzał posłać go z poleceniem do Warszawy. Ślicznie! Urlopu nie weźmie, a jednak swoich zobaczy, Wszystko przygotowane, formalny niemiecki paszport reemigranta wrychtowany. Promienna, dziecinna radość bije od Staśka. Wieczorem w przeddzień rozstania (bo kilku nazajutrz ruszało w rozmaite strony: Halicki do Orła, Ogiński do Krakowa, sam Lis wkrótce pod Brody) zebrał się na ostatnią peowiacką herbatkę. Małagowski właśnie opowiadał, jak to do Warszawy wjeżdża. Wchodzi Lis, twarz skupiona, chłodne źrenice, jak zawsze w momencie decyzji: „Zmiana rozkazu; wobec nowoodebranych wieści z kraju, ob. Małagowski jeszcze dziś wieczorem ruszy do Krakowa, zamelduje się służbowo i natychmiast stanie do dyspozycji komendy głównej.“ Tylko tyle.

Lecz zanim zabrzmiało stłumione, sakramentalne „Rozkaz“ Małagowskiego, zdołałem w jednym błysku oczu pojąć, ile, i jak bardzo zasłużonych, nadziei pożegnał on w tej chwili. Było to jednak głupstwo, wobec ogłuszających nowin, które usłyszeliśmy za chwilę. Zaczęła się nowa era.

W pięć dni potem (pierwsze dni listopada) spotkałem na Florjańskiej doborowy, sprawnie idący oddział naszych, z młodym, prześlicznym i aż nadto jawnie rozpromienionym porucznikiem na czele. Ktoby się tu domyślił obdartej braci peowiackiej z Kijowskiego bruku!

Małagowskiego przyjęto więc do armii w randze porucznika i polecono mu formowanie konnych saperów dla Beliny, ale że właśnie szykowała się odsiecz Lwowa, więc tymczasem wprosił się na ochotnika na pociąg pancerny № 2 „Śmiały“, ruszający na czele odsieczy.

Śmiały pracuje przy zdobyciu Przemyśla, a gdy w kilka dni potem przy zdobywaniu Lwowa, ciężko zostaje ranny jego komendant, kapitan Hickiewicz

— Małagowski obejmuje po nim komendę i stale odtąd dowodzi pociągiem — aż do śmierci.

„Śmiały“, po odbiciu Lwowa, zapuszcza się pod Winniki i ostrzeliwuje to miasteczko, pod Niżankowicami rozbija pancerkę ukraińską, walczy nieustannie przez długie zimowe miesiące, kiedy tor kolejowy Przemyśl-Lwów był niby przesmyk wązki w zbrojnym ukraińskim morzu. przesmyk — arterja życiodajna, broniona głównie przez pociągi pancerne.

W te długie, jak że długie, miesiące załoga pełniła ciężką i twardą służbę z dziwną brawurą. Komendant „Śmiałego“ wyzyskiwał każdą chwilę aby wykształcić i podnieść swych ludzi, aby trudne życie żołnierskie uczynić bujniejszem i ożywić. Urządził im własnymi siłami kurs podoficerski i przeprowadził oficjalne mianowania tych, którzy go przeszli. Potem, pamiętam, na zakończenie kursu, urządził bal. Sam właśnie prowadził mazur, gdy rozkaz przyszedł: o 2-giej w nocy wyjazd pod Rawę-Ruską. „Śmiały“ ma o 2-giej minut 30 zacząć ostrzeliwanie tej wsi i dać znak do ofensywy ogólnej.

Ciche, prędkie, pobięły hasła i rozkazy. A potem mazur, mazur do zapamiętania, do upadłego, do... 1-szej minut 55. Poczem — znak — pustoszeje sala. Gwizd krótki — odjazd.

I znów innym razem w teatrze, gdzie zaprowadził wszystkich wolnych od służby żołnierzy. W czasie drugiego aktu przybiegł zdyszany dyżurny. Rozkaz — ruszać natychmiast pod Gródek Jagielloński.

I znów w ciemną noc huczali podkute nasze buty po bruku lwowskim, w pustych głuchych jego ulicach, w mroku nocnym.

Walczyliśmy wtedy dwa dni.

Aż gdy przysły najgroźniejsze czasy w Sądowej Wiszni, czasy odcięcia od świata, kiedy leje od pocisków rozkwiły wokoło, a człek nigdzie nie miał ukrycia, zdaćby się mogło, że nastały ostatnie dni „Śmiałego“. Przecież wyszedł cało, chociaż ze stratami.

Na pociągu było potem dwóch Małagowskich. (Starszego brata, Kazimierza, po tylu latach niewidzenia spotkał komendant pancerką nocą w jednej z bitw pod lwowskich i przydzielił do „Śmiałego“ mu wyrobił.) Dwóch najwaleczniejszych, dwóch nierozłącznych, dwóch omijanych przez kule. Bobrujska legenda i tu poczęła się tworzyć.

Wreszcie pchnięto pancerkę na front północno-wschodni, do gen. Śmigłego. Dwa tygodnie stali przedtem w Warszawie. Myszkowali po niej od rana do nocy, żywego ducha, prócz wart, nie zobaczyłeś na pociągu. „Robimy parę“, mówił Małagowski.

W Warszawie zastał ich uroczysty dzień imienin Naczelnego Wodza. Małagowskiemu danem było, tym razem już nie wysłannika-legjonistę, ale samego Komendanta w dniu tym powitać w imieniu pancerkki. Spotkałem go jadącego do Belwederu i odprowadziłem. Rozradowana mina, iście Kmicicowa fantazja, choć pozornie cała uciecha z gałowego munduru i świeżutkich białych rękawiczek. Ale czasem przelatywały mu przez źrenice takie błyskawice zachwyty, takie ognie entuzjazmu że widziałeś jasno: Dziś oto, za tyle lat psiej służby zdaleka — upragnioną bierze radość. Powtarzano mi potem, że podczas oficjalnego powinszowania, gładko ułożona mowa splątała się porucznikowi, a on sam spłonął nagle, podniósł oczy prosto

na twarz Wodza i niespodzianie rzucił ku niemu przenikliwy, drgający szczęściem, zdławiony szept: „Do ostatniego tchu, Komendancie...“.

Wreszcie wyruszył „Śmiały“ na białoruskie rozłogi. Szedł pierwszy, wjeżdżał na szyny, po których od szeregu miesięcy nie przeszedł żaden pociąg. Była to wczesna wiosna. To też listy z pola dowódcy „Śmiałego“, pełne są wiosennego upojenia. Rozmach i młodość, wiara i entuzjazm drżą w nich, jak rozgrzane powietrze w wiosennym słońcu. „Żyję sobie, jak ptak boży — bujnie i swobodnie z dnia na dzień, ciesząc się, że żyję, i nie martwiąc się, że życie przestanie. Bo ja jestem „Śmiały“ i jadę przez życie pociągiem pancernym na całą parę“.

Biorą Baranowicze, tor się kończy. Dalej jest szerokotorowa linja rosyjska. Przymusowa bezczynność chwilowa, Małagowski przyjeżdża do Warszawy.

I nareszcie, nareszcie ma kilkanaście dni wyłącznie dla siebie.

Wtedy to za wierną służbę Bóg dał nagrodę: zaręczył się.

Odtąd każdy, kto się do niego zbliżał, był niby prześwietlony tem jasnym ogromnym szczęściem, jakie biło od jego żołnierskiej postaci.

„Miłość do kobiety“ — mówią urywki pamiętnika — to stan szczęśliwości i przyczyna najlepszych natchnień i czynów“...

Wszystkie myśli młodzieńcze, cały dorobek żołnierski, bujność natury, skryzalizowały się właśnie. Był to już człowiek dorosły. Planował na jesień zakładać dom, żenić się...

Tymczasem podążył budować „Śmiały“ szerokotorowy — „żeby mieć czem jechać po swoje buty do Bobrujska“, które powiadał, że tam zostawił.

W tej pracy wyręcza go brat-architekt, obecnie już sierżant artylerji.

Rozstają się chwilowo. Staś — zostaje na wąskim. Kazio — buduje pod Wilnem „Szeroki“.

Niebawem ten ostatni jest gotów i bierze udział w walkach. Porucznik Małagowski jest teraz dowódcą obydwóch pociągów. Obydwa są w ciągłej służbie.

Wreszcie pierwszego lipca obaj bracia mają wyjechać na urlop.

W Lidzie Staś Małagowski czeka na Kazia. Miast brata przyjeżdża ordynans z meldunkiem z „Szerokiego“.

W ten ostatni dzień, Kazio wyładował z pociągu „minierkę“ postawił ją o pół kilometra na torze i ostrzegł bolszewików.

Pocisk rozszarpał mu pierś. Żył jeszcze 4 dni. Skonał na ręku brata w Wilnie, 5-go lipca 1919 r.

A 25 go lipca, porucznik Małagowski, który miał tyle urlopu, byle pochować najmilszego sercu brata, poprowadził patrol ochotniczy z pociągu na wieś, zajęta przez bolszewików, o wiorstę od pociągu odległą. Był to jeden z tych brawurowych wypadów, które zwykle kończyły się tak pomyślnie.

„Szlę mi tyraljerą przez pole gryki“ — opowiada żołnierz Wysocki, który Go konającego niósł z po-

la bitwy, „raptem jak uszli my jakie sto pięćdziesiąt kroków, dwie naraz maszynki bolszewickie zaczęły do nas prac. Mały taki dystans — gęsto i celnie bili.

Leżymy tak przy ziemi, a kule wierzchem idą, jak pszczoły. Mieli my też ze sobą maszynkę. To porucznik podniósł się wpół i krzyczy do kulomiotaczy: Mała serja! I wtedy go trafiło.

Zachwiał się, padł i począł w tył iść. Uszedł sto kroków i upadł. A tu już i nasi się cofają. Maszynka im się zacięła. Podbiegam do porucznika: „Panie poruczniku, pójdziemy? Wziąłem go pod ramię, prowadzę. A tu kule wkoło aż turkoczą. Podbiegł drugi żołnierz pomagać, to go w udo trafiło.

Więc ja spieszę, co prędzej. Żeby za górkę, żeby tylko za górkę. A u porucznika już mętne oczy. Parzy niemi po naszych. A wszystko to młodzi — sam prawie rekrut, co niedawno na pociąg przyszedł.

„Co wy robicie, Wysocki!“: mówi porucznik, „nie spieszcie tak, bo oni karabiny porzucają“.

Doszli my tak za górkę. Złożyłem porucznika na trawie. Ale bolszewicy nasuwają się tuż. „Nie mogę dalej iść“, mówi porucznik, zostawcie mnie tu“. Ale jakizby ze mnie był żołnierz! Więc niosę dalej. Sierżant Sknużył jeszcze ranny w nogę, o ramię mi się opiera. Jakoś idziemy. Potem inni podbiegli, pomogli.

Wyszliśmy wreszcie na tor, gdzie już bezpiecznie było. Złożyliśmy porucznika.

Zakrzętnąłem się, żeby czemkolwiek opatrzyć ranę. Dostał ją w brzuch. Otwór wejściowy był duży — cały palec mi wszedł — i broczył krwią.

— Cóż — mówi porucznik — „tyle razy udawało się, na ten raz nie zeszło. Na to wojna“.

Poczem zesłał.

Deszczyk letni począł padać. Rozwarł komendant oczy. „Dobrze“... mówi. Schyliłem się, pytam: „Co, panie poruczniku?“ „Dobrze“, mówi, „świeżo, przyjemnie będzie umierać“. I zaraz potem: „powiedzcie narzeczonej, żeby mnie tam nie czekała“.

Przenieśliśmy komendanta do pancerki, zebrać kazał żołnierzy, zbliżyć i pytał czy go kochali. Potem żegnać kazał rodzinę, kolegów, przyjaciół, wymieniał każdego z osobna, pierścionek z ręki kazał sobie zdjąć i narzeczonej oddać, a potem wypowiadał się.

Przewieziono go natychmiast do szpitala w Baranowiczach.

Był wczesny wieczór 25-go lipca.

„Pochowajcie przy Kaziu“ — powiedział jeszcze. Oto wszystko.

Są w pamiętniku jego słowa: „Najpiękniejszą jest śmierć w pełni sił do życia“.

Ale że byli nad grobem jego ludzie, co żalem nieznośnym darci, wołali ku poległemu: „Wstań!“, nie mogąc ani się pogodzić, ani zrozumieć. ani bez niego pozostać — więc dla nich raz jeszcze:

Choć koniec — nie koniec przecie.

NON OMNIS MORIAR.

Dwie daty

(10 lipca 1919 r. — 25 lipca 1919 r.)

Zagrały organy —

Zerwały się dźwięki ponurą pieśnią, spłynęły ze stropów kościelnych, o tłumy ludzkie się rozprysły, i rozpląnęły w białej powodzi róż. Ciężkie, przyzółkłe światło świec chwije się dookoła, błyszczą szable ostatniej warty. Brzmią organy.

Porwie się bunt przeciw boskim wyrokom — porwie się i przycichnie.

Skończone.

Rozerwano obręcz kwiatów, zakołysała się trumna na barkach towarzyszy, a pierwszy niósł ją brat.

Szary, mętny dzień oslepił, duże krople deszczu uderzyły o trumnę, zakołysały się szeregi wojska, zaszemrały wieńce i wstęgi. Laweta drgnęła i ruszyła powoli. Długi szary pochód pociągnął ulicami Warszawy.

Potem szpalerami zieleni, przesiąkłej wilgocią deszczu, zapuszczono się między groby.

Potrącane gałęzie, sypały ciężkiem srebrem wody, bladą zielenią liści. Wierzchołki drzew szumiały cicho, daleko i obojętnie.

Potem to najgorsze. Trumna nad grobem. Mowy, pożegnania. Sprawy którym przeszkadzają słowa i dla których niepotrzebny jest świadek.

Żołnierze powiadali potem, że chciało się paść i gryźć ziemię, czarną ziemię.

Nad otwartą mogiłą stał prosty i sztywny brat poległego, nasz komendant. Szczęki zacięte, zimne źrenice, dwie bruzdy przez twarz. Jak w boju. Patrzył w trumnę, jakby w oczy żywego człowieka. Czy mówił mu — do rychłego!..

Ciężkie krople zwiane wiatrem zadudniły na wieku. Huknęła trzykrotna salwa.

Groza wstrząsnęła tłumem. Czy słyszycie? Stary ojciec objął trumnę i mówi do syna. Nie. To w wieczność posyła słowa zwycięstwa nad męką.

„Tobie ojczyzno, oddaję com miał najlepszego. Krwi jego, ani bólu swego nie żałuję.

Niech żyje Polska“!

Kazimierz Małagowski, podporucznik artylerji pociągu pancernego „Śmiały“ poległ pod wsią Zalesie dn. 5-go lipca 1919 roku.

* * *

Komendant skoczył do grobu, brał wieńce jeden za drugim i troskliwie, powoli, skostniałymi z tklivości rękoma otulać począł trumnę różami. „Pocoś zeszedł do mogiły Staśku! Poco komendanciel!“ załopotalo mi w sercu.

A w dni 20 — chowaliśmy Komendanta Małagowskiego.

Znowu ten sam kościół, kwiaty, wszystko umyślnie tak samo, warty, świece. Sił już nie było na przeżywanie tamtego dnia po raz drugi. Więc twarze żołnierzy, raz jeszcze z frontu przybyłych, wyrażały prócz cierpienia, bunt, zdziwienie, wściekłość nieomal. „Nie chcę, nie wierzę, nie mogę“ — mówiły wierne źrenice. Nie powinienes był odejść, Staśku. Cóż będzie z pociągiem, Komendancie!

Ta sama droga, tylko już złocisty, upalny dzień. Wielkie honory wojskowe. Bezbrzeżna, nietamowana fala rozpaczy wlokąca się za trumną.

Chowano naszego porucznika w tym samym grobie. Róże jego dłońmi ułożone, przewiedle i wyblakłe, żyły jeszcze. Nikt ci już trumny w mogile kwieciami nie utuli, człowieku waleczny, człowieku nad stał mocniejszy, co prędzej minąłeś, niż róże...

Znów pożegnania. Koledzy szkolni, koledzy z P. O. W. i my ze „Śmiałego“. Tak, „Śmiały“ pożegnał w Nim ojca i brata, chwałę i zasługę, czyn swój bojowy i prawdę serca.

Salwa. Ludzie jakby przypadli do ziemi ze zgrozy. Przecie to ta sama salwa, co zabiła go przed pięcioma dniami!

I znowu w śmiertelnej ciszy usłyszano głos starca. „Oddałem drugiego syna. Więcej dać nie mogę, bo niemam. Ale niech wszystko będzie dla ojczyzny“.

Stanisław Małagowski, porucznik, dowódca poc. panc. „Śmiały“ poległ pod Pogorzalcami dnia 25 lipca 1919 r.

* * *

Gdy się o nim myśli, jedno tylko słowo określa go dokładnie — rycerz. Gdyby się był w Kmicicowych urodził czasach, byłby zapewne po Kmicicowemu „Chowańskiego podchodził“. Ale że dzisiaj do najlepszych dusz polskich, niewola, a raczej stuletnia z nią walka wniosła jakąś przedziwną głębię smutku i zamyslenia, uporu i zapamiętania, ofiary wreszcie i zapomnienia o sobie, więc i nasz komendant głębokie cięcie, jak skazę na kryształ, w duszy nosił.

Owo junactwo zapamiętałe, ślepe z odwagi, wesołe z ochoty, w połączeniu z wieczną zadumą na brwiach osiadłą, z chłodem warg zaciętych w momencie decyzji — stwarzało porywający czar Małagowskiego. Był jedyny, niezastąpiony, nieskończenie swoisty, niezmiernie swojski. Żołnierz „jak w taniec, tak szedł z nim na bój“.

Czy wtedy gdy w ogień prowadził pancerkę z zimną krwią i rozważą, a zarazem z fantazją i humorem, właściwym tylko pierwszorzędnym temperamentem bojowym, czy też urządził dla oddziału jaką uciechę okolicznościową z prawdziwie szlacheckim, szerckim gestem — trzeba go było kochać, naśladować, podziwiać. Zawsze. Jeśli na wojnie człowiek taki staje na czele oddziału, to powoli wyciska na nim tak silnie piętno, przelewa weń tyle swej duszy, że jakoby wprost identyfikuje go z sobą.

Gdy człowieka tego nie stanie — oddział długo jeszcze żyć może wspomnieniem tego, jakim był, czego nauczał i jak umierał.

Kazimierz był poniekąd przeciwstawieniem brata, jakkolwiek obaj byli taksamo bez zaszczytów i bez granic oddani idei.

Kazimierz — piękny przedziwną uduchowioną pięknoscia, czarujący obajsciem, słowem i spojrze-

niem, był przede wszystkim artystą. Żył samotnie, we własnym duchowym świecie, jakkolwiek nie było nikogo, ktoby nie uległ czarowi jego postaci, głębi jego duszy. Była to toń lśniaca i wesoła w słońcu, choć nieprzejrzysta w czarnej głębinie i dla wszystkich zamknięta. W boju, łagodna rzewność oczu, kobiecy uśmiech ust — gasły. Przeradzał się cały. Do szaleństwa kochał niebezpieczeństwo i upijać się niem umiał nie znając miary.

Żołnierzy jednak, niejednokrotnie równie odważnych, pociągał i mimowoli nauczał i urabiał przede wszystkim — istotą swą moralną. Sumiennosc i obowiazkowosc sluzbowa stala u niego na najwyzszym poziomie. Dzieki zas artyzmowi swej natury byl prawdziwa okrasa cięzkiego zycia wojennego, jak by kto purpurowymi kwiatami mieczyka umal broń od krwi zardzewiala.

Dziś nie żyją.

Odpowiedzialność nasza wobec Tych, co odeszli.

Zetknięcie się ze śmiercią zmusza do myśli szerszej i głębszej; ono wypróbowuje naszą wiarę.

W obliczu śmierci kruszą się wszystkie martwe teorie i formułki. a tylko przeżyte i odczute prawdy mogą się ostać.

Chciałbym tu wypowiedzieć myśl pewną, którą nasunęła mi śmierć Małagowskich.

Obaj bracia służyli na „Śmiałym“, byli najlepsi i oni właśnie zginęli; niejeden zapłakał nad grobem, kilka serc najbliższych krwią broczy, ale życie obojętne płynie bez widocznej zmiany.

Chciałoby się krzyknąć: „opamiętajcie się ludzie! znowu zginęło dwóch przeczystych bohaterów, czy wy czujecie że zbrodnia jest z naszej strony wracać po takim fakcie do porządku dziennego“?

I obiektywne rozumowanie o tem, że to nie „zbrodnia“ lecz konieczność, nie jest w stanie zgłuszyć buntu wobec obojętności życia.

Wraca mi żywe wspomnienie pogrzebu Małagowskich, tych łez gorących tyłu, tyłu ludzi.

Łzy tak prędko schną, życie człowieka unosi dalej i tylko w niektórych, zetknięcie ze śmiercią budzi poczucie odpowiedzialności naszej, wobec tych co odeszli. Od nas żywych zależy, czy śmierć ich *tu na ziemi* owoc przyniesie, czy będzie ofiarą, co poszła na marne. Przecie jedynie wiara, że śmierć najlepszych pogłębia żywych, że śmierć każda posiada tu jeszcze na ziemi, treść swoją, usprawiedliwienie i rezultat, tylko ta wiara jest w stanie dać tym, co giną śmierć radosną i podtrzymać tych, co najukochańszych stracili.

Nie Bóg, a szatan byłby panem świata, złym smem byłoby życie, gdyby te niezliczone ofiary naj-

szlachetniejszych z pośród nas, pochłoniętych przez krwawą wojnę, miały przejść niepostrzeżenie, gdyby właśnie przez to i dlatego nic się na świecie nie miało zmienić, gdyby życie po tej wojnie popłynęło dawnym torem i nad światem nadal miał panować egoizm i wszechwładne pragnienie tępych i płytkich zadowolonych.

Po tych 5 latach w których, każdy prawie przeżył i widział rzeczy straszne i wielkie, nie dość być „uczciwym“ człowiekiem w potocznym tego słowa znaczeniu — nie wolno żyć biernie i wygodnie, kiedy nędza, krzywda, i krew wokoło, zbrodnia jest żyć choćby w najszlachetniejszym świecie marzeń, kiedy rzeczywistość woła o czyn odradzający.

Życie nasze wypełniają bieżące płytkie sprawy, myśl jałowa, uczucie blade i frazes, frazes bez końca o obowiązku, społeczeństwie, ludzkości. A przecie każdy, kto choć raz w życiu przeżył chwilę, gdy zapomniał siebie, swój mały światek, a czuł ideę dla której radośnie byłoby mu zginąć, ten wie dobrze, że taka chwila to właśnie wartość istotna, to skarb najwyższy. Dla niej tylko żyć warto.

Śmiertelnym wrogiem naszych dusz jest bezzmysłne zadowolenie z siebie, zanik wszelkiej tęsknoty, dążenia ku sprawiedliwшему życiu, ślepotą, nieczułość wobec nędzy i męki ludzkiej.

Każdemu, kto miał szczęście znać braci Małagowskich, święte wspomnienia tych ludzi poległych za Ojczyznę powinno stać się pobudką do czynu, stałym sprawdzianem własnych postępów, a w ciężkich chwilach życia — otuchą i ostoją.





Ś. p. Stanisław i Kazimierz Małagowscy



Ś. p. Kazimierz Małagowski



Ś. p. por. Stanisław Małagowski

P. II - 544
1920

